UMCS
LUBLIN

czas 2552/1978/21

W NUMERZE: Rozmowa z Janem Tomaszewskim bramkarzem VAV Beerschot (str. 14)

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 15 X 1978 NR 21 (663) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Gdy już przeszli trzydzieści rzek

Alojzy Sroga

PROSZĘ pozwolić na garść refleksji: część z nich — to autorskie, inne — zarejestrowane głównie na taśmach magnetofonowych, z przygotowanych przez autora audycji radiowych w ostatnich kilkunastu latach. Nie mam zamiaru przywłaszczać cudzych myśli.

Dokończenie na str. 4—5

Fot. W. Stępień

GENEZA DRUGIEJ NIEPODLEGŁOŚCI

Sprawa polska na scenie europejskiej 1914-1918

Wiesław Śladkowski

JEDNĄ z przyczyn niepowodzeń kolejnych polskich powstań i dążeń niepodległościowych w XIX stuleciu była niekorzystna dla sprawy polskiej sytuacja międzynarodowa. Polegała ona na solidarnym w zasadzie działaniu podejmowanym przez trzy mocarstwa zaborcze w wypadku polskiego zrywu wyzwoleńczego. Tak było podczas powstania listopadowego, rewolucji krakowskiej 1846 r., Wiosny Ludów czy też powstania styczniowego. Zawodziły również rachuby na pomoc ze strony państw zachodnich. Anglia czy Francja, których wielkomocarstwowe interesy sprzeciwiały się często dążeniom caratu, popierały niekiedy polską irredentę, w otwarte szranki nigdy jednak w sprawie polskiej nie decydowały się wystąpić. Braku konkretnej pomocy militarnej czy nawet bardziej zdecydowanego poparcia na forum dyplomatycznym nie mogły zrównoważyć liczne i przyjazne gesty dla Polski ze strony zachodniej opinii publicznej czy też ofiarna pomoc europejskich rewolucjonistów. W związku z tym już od czasów powstania listopadowego kształtował się w polskiej opinii coraz to bardziej powszechny sąd, iż odzyskanie przez Polskę niepodległości będzie możliwe tylko w warunkach wielkiego konfliktu europejskiego, w którym staną naprzeciwko siebie państwa zaborcze.

Tymczasem gdy w roku 1914 wybuchła wojna światowa, o którą za Adamem Mickiewiczem modliło się kilka polskich pokoleń wierząc, iż stanie się ona początkiem wyzwolenia Ojczyzny, to — jak trafnie zauważył austro-węgierski minister spraw zagranicznych Burian — „...ani jedna myśl Polsce nie była poświęcona". Państwa zaborcze chciały utrzymać swój stan posiadania, Francja była daleka od podniesienia sprawy polskiej, aby nie urazić swej sojuszniczki, Rosji carskiej, natomiast Anglii kwestia polska była zupełnie obojętna. Przed wybuchem wojny premier brytyjski Asquith powiedział wyraźnie Ignacemu Paderewskiemu: „Nie ma żadnej nadziei na przyszłość dla Ojczyzny Pana".

Względy militarne zmusiły jednak państwa zaborcze właśnie jako pierwsze do podjęcia polskiej karty. Front wschodni przebiegał bowiem przez ziemie polskie i dla armii państw centralnych oraz carskiej nie było rzeczą obojętną, jaką postawę zajmą Polacy. Odezwa naczelnej komendy wojsk austro-węgierskich powołując się na tradycję wspólnej walki pod Wiedniem zapowiadała Polakom wyzwolenie spod jarzma carskiego, podobnie proklamacja niemiecka obwieszczała, iż żelazne zastępy kaisera niosą narodowi polskiemu wolność i niepodległość. Największe wrażenie zrobił jednak manifest głównodowodzącego armią carską, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Zręcznie zredagowany wzywał Polaków do walki przy boku Rosji przeciwko nawale germańskiej, jak ongiś pod Grunwaldem, zapowiadając zjednoczenie pod berłem cara trzech części Polski „swobodnej w swej wierze, języku i samorządzie" Wielkie słowa mówiące o wolności i niepodległości, jakie padły na początku sierpnia naraz z trzech stron, z których dwie znane były ze swej bezwzględnej polityki rusyfikacyjnej i germanizacyjnej, zaskoczyły początkowo Polaków. Złudzenia jednak szybko prysły. Odezwy nie miały bowiem charakteru dokumentów urzędowych, a bezwzględne traktowanie ludności polskiej przez władze państw centralnych na zajętych terenach świadczyło wyraźnie o ich prawdziwej, zaborczej polityce.

Rozczarowali się również szybko ci, którzy liczyli na obietnice caratu, chociaż jako dobrą monetę przyjęła je także przychylnie, a nawet entuzjastycznie, sprzyjająca sprawie polskiej zachodnioeuropejska opinia publiczna, zwłaszcza we Francji i Anglii Tymczasem w Piotrogrodzie nie myślano o realizacji przyrzeczeń carskich, które odkładano do czasu ostatecznego zwycięstwa nad przeciwnikiem, zadowalając się w pełni korzystnym w Europie efektem propagandowym manifestu. Hasło zjednoczenia ziem polskich pod berłem cara utrzymywało nadal sprawę polską w gestii Rosji, tamując najmniejszą nawet inicjatywę Paryża i Londynu w tej kwestii. Francja i Anglia godziła się zresztą w pełni ze stanowiskiem Piotrogrodu, uważającego kwestię polską za wewnętrzną sprawę Rosji, ze względu na istotną rolę wschodniego sojusznika w zmaganiach wojennych. W tej sytuacji wszelkie próby podejmowane przez prokoalicyjne koła polskie z Romanem Dmowskim na czele, zmierzające do umiędzynarodowienia sprawy polskiej, nie mogły liczyć na powodzenie, a przychylna Polsce część zwłaszcza lewicowej opinii publicznej nad Sekwaną i Tamizą, była wyciszana.

Gdy w 1915 r. młody dziennikarz szwajcarski, Edmond Privat, podjął we Francji szeroką akcję propagandową na rzecz niepodległości Polski, został wezwany na Quai d'Orsay, gdzie wszechwładny dyrektor generalny ministerstwa spraw zagranicznych, Philippe Bertholet, zwrócił się do niego z następującymi słowami: „Otrzymaliśmy z Petersburga raport na pański temat. Nasz ambasador poinformował nas, że prowadzi pan kampanię dla wskrzeszenia republiki polskiej. Lecz to jest rzecz niemożliwa do spełnienia. Jest to po prostu utopia i powinien pan porzucić te marzenia i zająć się sprawami bardziej interesującymi".

O ówczesnym stanowisku angielskim wobec sprawy polskiej można wnioskować z rozmowy przeprowadzonej wiosną 1916 r. w Londynie między parlamentarzystą rosyjskim, prof. Milliukowem, a ministrem spraw zagranicznych Wielkiej

Dokończenie na str. 3

z notatnika

27 IX. W kioskach „Ruchu" znalazł się dzisiaj nasz jubileuszowy numer „Kameny", w którym umieściliśmy wiersze, opowiadania, reportaże, artykuły, felietony, drukowane niegdyś na łamach pisma. Nazwaliśmy go numerem z numerów, chociaż początkowo zamierzaliśmy dać duży nadtytuł: numer retro.

Cóż za znakomite nazwiska! A ile pominęliśmy po prostu z braku miejsca! Młody czytelnik, który „Kamenę" czytuje od niedawna, a który interesuje się literaturą, może tu znaleźć małą antologię poezji polskiej. Inna rzecz, że np. X z roku 1934 nie jest X-em z roku 1978! Lata nobilitują. A swoją drogą ciekawe byłoby zestawienie twórców, którzy debiutowali w „Kamenie". Sądzę, że można by przedstawić zaskakującą listę.

Z okazji jubileuszu zaproponowaliśmy władzom czterech wschodnich województw udział członków zespołu redakcyjnego w spotkaniach środowiskowych, głównie w szkołach. Teraz czekamy na konkretne zgłoszenia. Termin spotkania — do uzgodnienia. Jubileusz traktujemy na roboczo: za pięć lat „Kamena" będzie obchodzić swe pięćdziesięciolecie, wówczas „poszalejemy"!

28 IX. Czytam felieton Juliana Rogozińskiego we wrześniowym numerze „Miesięcznika Literackiego": „...W ośmiu zeszytach, z jakimi wystąpili debiutanci lubelscy, wszystko jest poprawne, czyste, nudne i jednakowe. Wyróżnia się tylko „Bohater" Dominika Opolskiego; inni mogliby między sobą wymieniać wiersze i nikt by nie zauważył tej operacji. Dziwnie przykra seria, każdy zeszyt opatrzony fotografią — nasuwa na myśl dowód osobisty, tylko że w tych dowodach trudno doszukać się jakichś odrębnych osobowości lirycznych, cech, które wskazywałyby na różnice między Iksem, Igrekiem i Zetem..."

Bodaj przed pół rokiem wspominałem w notatniku o tej serii młodych lubelskich poetów. Nie wypowiadałem się co do zawartości, ale krytykowałem i te zdjęcia, i te podpisy, uważając je za przejaw pewnej megalomanii. Ale później o samych zbiorkach zamieściliśmy recenzję, która zajęła całą stronę „Kameny". Rogozińskiemu do wyrażenia swego sądu wystarczyło dwadzieścia kilka linijek!

Może taki kubeł zimnej wody jest potrzebny? Nasza poczta literacka pęcznieje. Wiersze, wiersze, wiersze i jeszcze raz wiersze. Wiele spośród nich można drukować, czemu nie, odpowiadają kryteriom (czy właściwie są jakieś kryteria?) druku. Zapewne czasami jesteśmy nawet zbyt tolerancyjni, ale to już wynika z tradycji „Kameny". Niejeden nasz debiutant wyrósł później na tęgiego poetę. Kto więc może przewidzieć, kim za lat, dajmy na to dwadzieścia, stanie się S. P. Gaszyński, P. Gembal czy B. Wróblewski?

Niezależnie jednak od wszystkiego apelowałbym o skromność!

29 IX. Bydgoskie „Fakty" zapraszają na swój jubileusz. Dwudziestolecie obchodzi ów tygodnik, który wchłonął „Pomorze" przechodził różne przeobrażenia, ale bodaj niezmiennie przewodzi mu Jan Górec-Rosiński. W programie — sympozjum teoretyczne. Referat pt. „Rola i zadania regionalnej prasy społeczno-kulturalnej w Polsce" ma wygłosić doc. dr Bronisław Gołębiowski, a Jan Górec-Rosiński ma mówić o miejscu „Faktów" w panoramie prasy społeczno-kulturalnej. Poza tym na uroczystość jubileuszową zaprasza wojewoda bydgoski (o godz. 18-tej), a po nim (o godz. 20-tej) prezydent miasta.

Ostatnie sympozjum poświęcone regionalnym czasopismom społeczno-kulturalnym odbyło się w Kazimierzu. Wyszło ono z inicjatywy „Kameny" i lubelskiego oddziału SDP. Kiedy to było? Dziewięć i pół roku temu. Obiecaliśmy sobie wówczas zbierać się częściej. Zdzisław Hardt z Ośrodka Dziennikarstwa przy ZG SDP proponował nawet, aby „następne spotkanie odbyło się jesienią tego (1969!!!) roku". A Tadeusz Kupis podał taką definicję regionalnej prasy społeczno-kulturalnej: młody las, który rośnie powoli, lecz systematycznie na pustej porębie.

Ciekawy jestem, kto i jaką wymyśli teraz definicję.

Wymiana poglądów to rzecz na pewno cenna. Po tych trzech tysiącach dni z hakiem, które minęły od poprzedniego spotkania, będzie zapewne o czym mówić. Sądzę jednak, że najbardziej cenne będą rozmowy w kuluarach. Jak zwykle przy okazji jubileuszu.

6 X. Przyjechał Czesław Morawski z Niedźwiedzisk, ten, u którego byłem latem w czasie urlopu, ten, o którym później pisałem w notatniku. Teraz razem — ja jako gość — jedziemy do Chełma na zjazd absolwentów b. Seminarium Nauczycielskiego Męskiego, przekształconego przed samą wojną w Liceum Pedagogiczne.

Tego typu zjazdy przeplata radość i smutek. Wyobraźmy sobie: ludzie nie widzieli się przez czterdzieści, pięćdziesiąt lat, ostatni raz ściskali sobie dłonie po maturze i teraz często patrzą na siebie nie mogąc się wzajemnie poznać. X myśli: Ale ten Y się postarzał! Co za dziadek się z niego zrobił! A Y z kolei duma: Do diabła, gdybym tego X-a zobaczył na ulicy, nawet do głowy by mi nie przyszło, że to ten szczupły blondynek z pierwszej ławki! Łysy, gruby, no i w ogóle całkiem inny człowiek!

Na wstępie kilka ciekawych liczb. Seminarium opuściło około 400 absolwentów, na obecny zjazd przybyło 54. Z poszczególnych roczników (nie urodzenia, ale ukończenia seminarium!): 1922 —1, 1923 — 2, 1924 — 3, 1925 — 4, 1926 — 1, 1927 — 5, 1928 — 4, 1929 — 2, 1930 — 5, 1931 — 5, 1932 — 3, 1933 — 7, 1934 — 4, 1935 — 4, 1936 — 4

Oczywiście absolwent z 1922 roku nie znał absolwentów z lat późniejszych, zwłaszcza tych z następnych roczników. I odwrotnie. Tego typu zjazd różni się więc od zjazdów kolegów, którzy uczęszczali do jednej klasy, nie mniej i on ma wiele uroku. Wszystkich uczestników w zasadzie łączy grono profesorskie, które — oczywiście uwzględniając zgony czy ewent. przenosiny — nie ulegało większym zmianom.

Zjazd odbywał się w gmachu b. Seminarium. Mieści się tutaj obecnie Zespół Szkół Zawodowych im. Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Zespołem kieruje poeta, autor dwóch wydanych dla młodzieży powieści, Kawaler Orderu Uśmiechu, Longin Jan Okoń, postać popularna nie tylko w Chełmie. Trzeba przyznać, że gospodarz Zjazdu i przemiłe grono nauczycielskie nadali spotkaniu dawnych absolwentów sympatyczną, chwilami podniosłą atmosferę.

Najciekawsza była dyskusja i wieczór wspomnień, w których to przewijały się nazwiska pięciu, dziś już nieżyjących, pedagogów: K. A. Jaworskiego, B. Wirskiego, A. Wilczyńskiego, A. Skorupy i Z. Waśniewskiego. Ze szczególnym, zrozumiałym wzruszeniem słuchałem wspomnień o moim ojcu. Oto dzisiejszy profesor wyższej uczelni w Warszawie mówi o trudnych dyktandach. Ojciec wybierał kilkadziesiąt, sto najbardziej wymyślnych słów i z góry ostrzegał, jakiego można się spodziewać stopnia. Stopień był uzależniony od liczby błędów. Blady strach padał na uczniów. Później sami skupiali się w małych grupkach, sami sobie robili dyktanda i sami sobie stawiali stopnie. Tak się wreszcie wyćwiczyli w pisowni, że później czekali na dyktanda, chcąc się popisać znajomością ortografii.

Ktoś mówił o Aleksandrze Wilczyńskim, znakomitym nauczycielu muzyki i pedagogu: — Kiedyś wieczorem pomagałem mojej gospodyni przynieść wodę ze studni. Wybiegłem na ulicę i nałożyłem na głowę zwykłą czapkę. Akurat jechał dorożką profesor Wilczyński. Zatrzymał się, oświadczył, że powinienem mieć czapkę uczniowską. A właściwie to powinienem już siedzieć w domu, bo jest po dziewiątej!

Młode nauczycielki słuchały tych słów jak bajki o żelaznym wilku. Bo nie skończyło się na tej rozmowie, sprawą zajęła się rada pedagogiczna. Gospodyni musiała wstawiać się za swym podopiecznym!

Różnych anegdot było sporo, ale przeważały głosy wskazujące na to, co b. uczniowie zawdzięczają Seminarium.

— Słuchaczami Seminarium byli głównie ludzie ze wsi, którzy później w charakterze nauczycieli na wieś wracali. Uczono nas w duchu postępowym. Po 1944 roku łatwiej mogliśmy zrozumieć dokonujące się przemiany.

— W internacie nie było różowo. Często byliśmy głodni.

— A w jakich łatanych butach wielu z nas chodziło! To się dzisiaj nie mieści w głowie.

— W czasie wojny i okupacji wielu byłych seminarzystów straciło życie. Wielu brało udział w kampanii wrześniowej, w konspiracji, walczyło na wszystkich frontach. Mało nas dzisiaj, te wyrwy w naszych szeregach to również skutek wojny.

Przebieg dyskusji, sam sposób wypowiadania się poszczególnych mówców był też niezwykle symptomatyczny. Widać było, kto zatrzymał się w rozwoju, kto kształci się dalej. Nie zabrakło i wiersza, niestety o lotach raczej niskich... Najwybitniejsi twórcy, którzy wyszli z chełmskiej „podchorążówki poetyckiej", Mrozowski i Kasperski, podzielili los swych wychowawców, odchodząc przedwcześnie...

Piszę te słowa na gorąco, zaraz po powrocie do Lublina. Jutro drugi dzień obrad, zwiedzanie Chełma, który tak zmienił się ostatnio. Często bywam w mym rodzinnym mieście, więc ów drugi dzień sobie darowałem.

Zapewne odżyło wiele dawnych przyjaźni, wymieniono adresy, oficjalne spotkanie nabierze nowych form. Ludzie, którzy rozjechali się po całej Polsce, będą się wzajemnie odwiedzać. Zapowiedziano podobny zjazd urządzić w przyszłości, skrzykną się też niebawem absolwenci chełmskiego Liceum Pedagogicznego, mówi się o możliwości zjazdu absolwentów Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego. To dobrze, ale warto się jeszcze zastanowić, jak te dawne wartości upowszechnić wśród dzisiejszych uczniów.

I jeszcze jedno: zjazd przebiegał pod znakiem antyalkoholowym. Nie wypito nawet ani jednego kieliszka koniaku. Trudno uwierzyć, prawda?

MAJ

JAN PARANDOWSKI NIE ŻYJE

Dnia 26 września b.r. zmarł w Warszawie w wieku lat 83 wybitny pisarz, znawca kultury antycznej, eseista i prozaik, Jan Parandowski. Zmarły był długoletnim prezesem polskiego Pen — Clubu, reprezentował nasz kraj na wielu pisarskich konferencjach międzynarodowych. Otrzymał szereg najwyższych odznaczeń państwowych, m. in. Sztandar Pracy I klasy i Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski. Był też laureatem państwowej nagrody I stopnia. Dzieło Jana Parandowskiego pozostanie jako trwały wkład w dorobek kultury i literatury polskiej.

SZPALTA O SPORCIE

W DODATKACH sportowych gazet codziennych z 18 września mieliśmy okazję przeczytać wiadomość, że na mityngu lekkoatletycznym w Londynie Ovett (Anglia) ustanowił rekord świata w biegu na dwie mile osiągnąwszy wynik 8,13,51, a trzecim w tym biegu był Bronisław Malinowski, który ten mało popularny u nas dystans przebiegł w czasie 8,18,43.

Wiadomość — pozornie jak wiele innych — wywołuje u kibiców pamiętających dawne czasy wiele skojarzeń. Otóż w latach trzydziestych Janusz Kusociński ustanowił rekord świata na dość popularnym, ale nie olimpijskim, dystansie 3000m, który wynosił 8,18,8. i to 8.18 z ułamkiem Malinowskiego prowadzi do tego skojarzenia. Zresztą przez wiele lat głównym punktem Memoriału Kusocińskiego był bieg na 3000 m, który dopiero w ostatnich latach zastąpiono dystansem 10 000 m na pamiątkę zwycięstwa jego na Igrzyskach Olimpijskich w Los Angelos. Gdy na Memoriale zaczynał się bieg na 3000 m wystrzeliwano rakietę, a po upływie 8 minut 18,8 sekundy drugą. Zawodnicy czołówki światowej byli już wtedy na mecie. Raz nawet zdarzył się taki wypadek, że jeden z uczestników biegu po wystrzeleniu pierwszej rakiety zatrzymał się, bo wydawało mu się, że to drugi strzał startera zapowiadający falstart.

Ale wróćmy do rekordu świata na dwie mile. Te osiem sekund i kilkanaście minut potrzeba dziś czołowym zawodnikom na pokonanie trasy o przeszło pół okrążenia (dokładnie 218 m i 688 m) dłuższej niż przed czterdziestu kilku laty. Czyli inaczej mówiąc: zawodnik biegnący z szybkością rekordowego biegu Kusocińskiego na ośmiu z małym dodatkiem okrążeniach toru (400 m) pozostałby w tyle o przeszło pół okrążenia. O tyle szybciej biega dzisiejszy wyczynowiec na tartanie od swego kolegi sprzed czterdziestu lat, który biegał na torze żużlowym.

Wiele się mówi o granicach ludzkich możliwości w sporcie, ale stale się też te granice przesuwają. Warto też przypomnieć dwa inne rekordy świata ustanowione przez Polaków na początku lat trzydziestych. Przed X Igrzyskami Olimpijskimi w Los Angelos Heljasz ustanowił rekord świata w pchnięciu kulą. Wynosił on 16,05 m. O blisko jedną trzecią więcej pchają dziś czołowi zawodnicy świata z naszym Komarem, ale są to już bardzo jednostronni zawodnicy o bardzo dużej wadze własnej oraz wzroście i tuszy, podczas gdy w tamtych latach miotacze byli tylko dobrze wysportowanymi chłopcami.

Jeszcze większe różnice obserwować możemy w rzutach pań. Niedawno wspominałem zwycięstwo olimpijskie Konopackiej, a teraz warto wspomnieć o Irenie Wajsównie, byłej rekordzistce świata w rzucie dyskiem. Jej rekordowy wynik — to 42,92 m. Dziś rekordowe rzuty przekraczają 70 m, a więc rekord sprzed czterdziestu kilku lat stanowi około 60 proc. ich długości. Ale Wajsówna była zgrabną dziewczyną, która nawet próbowała swych sił w wieloboju, czego dzisiejsze dyskobolki światowej rangi ważące około setki napewno nie mogłyby dokonać.

Jaki stąd wniosek. Dzisiejszy wielki wyczyn wiąże się z bardzo wąską specjalizacją. Wyśrubowane rezultaty nie stwarzają zachęty dla młodych adeptów, którzy widzą, że średni wynik młodego zdrowego człowieka trzeba podwoić, a może i potroić, by liczył się na świecie.

Dlatego najpiękniejszymi dyscyplinami sportowymi stają się wieloboje tak lekkoatletyczne, jak i pięciobój nowoczesny, które równomiernie rozwijają mięśnie zawodników.

tgw

Dokończenie ze str. 1

Brytanii lordem Greyem. „Co pan sądzi o sprawie polskiej?" — zapytał Miliukow. „To rzecz Rosji — brzmiała odpowiedź Greya. — My oczywiście życzylibyśmy sobie, aby Rosja dała Polsce autonomię, ale mieszać się do tego nie możemy".

Tymczasem popierana przez Zachód koncepcja autonomii dla Polski w ramach państwa carskiego stawała się coraz bardziej nierealna w związku z niepowodzeniami wojennymi Rosji. Latem 1915 r. jej armia została wyparta z ziem byłego Królestwa Polskiego, które znalazło się pod okupacją wojsk niemieckich i austro-węgierskich. Wówczas polski atut postanowiły wykorzystać państwa centralne. Po długich przetargach świadczących o różnicach między Wiedniem a Berlinem został ogłoszony tzw. akt 5 listopada 1916 r. zapowiadający utworzenie Królestwa Polskiego z odebranych Rosji ziem byłego Królestwa Kongresowego.

Uzależnione od mocarstw centralnych państwo nie posiadało władcy i granic, wiadomo było jednak, iż w jego skład nie wejdą ziemie zabrane

Sprawa polska na scenie europejskiej 1914-1918

Rzeczypospolitej przez Austrię i Prusy tj. Galicja, Wielkopolska i Pomorze. Głównym celem aktu było uzyskanie polskiego rekruta, co nie zostało zresztą osiągnięte. Mimo tego akt 5 listopada wywołał duże wrażenie wśród państw ententy. Z protestem wystąpiła Rosja carska. Stojąc na stanowisku, iż ziemie te stanowią część imperium carskiego, za pogwałcenie prawa międzynarodowego uznała plany poboru rekruta polskiego z tych terytoriów do armii państw centralnych. Jednocześnie Piotrogrodzka Agencja Telegraficzna przypomniała, iż nadal zamiarem cara jest nadanie zjednoczonym ziemiom polskim autonomii. Ten punkt widzenia poparli zachodni partnerzy Rosji, którzy w depeszy skierowanej w ich imieniu do Piotrogrodu przez premiera francuskiego Brianda wyrazili zadowolenie „ze wspaniałomyślnej inicjatywy danej przez rząd jego cesarskiej mości na korzyść narodu, z którym łączą nas dawne sympatie, a którego przywrócone zjednoczenie stanie się jedną z pierwszorzędnych podstaw przyszłej równowagi europejskiej". Ten ostatni zwrot był ustępstwem ze strony rządów na rzecz opinii publicznej swych krajów, która już nie tylko na łamach prasy lewicowej, ale także burżuazyjno-liberalnej opowiedziała się za umiędzynarodowieniem sprawy polskiej i uznaniem jej jako jednej z najważniejszych dla interesów koalicji. Mimo tych nacisków i wyraźnego fiaska polityki carskiej wobec sprawy polskiej rządy państw zachodnich oficjalnie nadal traktowały ją jako problem wewnętrznie rosyjski. Jak wyjaśniał bowiem zmarły przed kilku laty wybitny historyk francuski Pierre Renouvin, „uczucia przyjaźni, którym dawała świadectwo opinia publiczna francuska wobec narodu polskiego musiały ustąpić wobec konieczności utrzymania sojuszu francusko-rosyjskiego". Ten punkt widzenia był konsekwentnie przestrzegany przez rząd francuski do ostatnich dni istnienia reżimu carskiego. Tuż przed wybuchem rewolucji lutowej naciskany przez ambasadora carskiego w Paryżu, Izwolskiego, Briand w tajnej depeszy z 11 marca 1917 r. w zamian za zgodę Rosji na ustalenie po wojnie wschodniej granicy Francji, dał imperium carskiemu carte blanche dla wytyczenia jego granicy zachodniej. Zdaniem wspomnianego Renouvina oznaczało to „porzucenie interesów narodu polskiego" przez III Republikę. Wprawdzie rząd angielski w tym okresie rozważał ewentualność odbudowy państwowości polskiej, a prezydent USA, Wilson, w swym orędziu do senatu z 22 stycznia 1917 r. wypowiedział się ogólnie, iż powinna powstać „zjednoczona, niepodległa i autonomiczna Polska", to jednak przez pierwsze trzy lata wojny, mimo wysiłków podejmowanych licznie przez Polaków oraz szerokiego stosunkowo zainteresowania i poparcia ze strony zachodnioeuropejskiej opinii publicznej sprawa polska, jak podkreślił to polski historyk emigracyjny, Czesław Chowaniec, do roku 1917 nie mogła wydobyć się z wąskiej płaszczyzny stosunków w Europie wschodniej na forum międzynarodowe. Ententa uporczywie trzymała się carskiego punktu widzenia, a państwa centralne stały na gruncie aktu 5 listopada. W zależności więc od zwycięstwa jednej lub drugiej strony przed narodem polskim rysowały się wówczas dwie możliwości: nieokreślonej bliżej autonomii w ramach imperium carskiego, lub kadłubowego państewka polskiego w systemie Mitteleuropy uzależnionego od imperializmu niemieckiego.

Ten ograniczony i jakże daleki od polskich aspiracji narodowych horyzont polityczny wbrew pozorom i lansowanym niekiedy opiniom nie przejaśnił się od razu po zwycięskiej rewolucji lutowej w Rosji. Obaliła ona wprawdzie reżim carski, lecz miejsce jego zajął burżuazyjny Rząd Tymczasowy z księciem Lwowem na czele, z którym zachodni uczestnicy koalicji wiązali nadzieje na dalszy udział Rosji w wojnie z mocarstwami centralnymi. Mimo więc, że została usunięta główna przeszkoda dla podniesienia w Europie sprawy polskiej, jaką był carat, zarówno Paryż jak i Londyn czekali na zdanie, jakie wypowie w tej kwestii nowy rząd rosyjski.

Kształtowało się ono pod wyraźnym naciskiem sił rewolucyjnych i robotniczych. Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Piotrogrodzie, reprezentująca tych, którzy w głównej mierze przyczynili się do obalenia caratu, wypowiedziała się pierwsza w sprawie polskiej głosem pełnym i jednoznacznym. W swym orędziu skierowanym do narodu polskiego z 28 marca 1917 r. stwierdziła wyraźnie: „Ustrój carski, który w ciągu półtora wieku gnębił naród polski równocześnie z rosyjskim, został obalony wspólnymi siłami proletariatu i wojska. Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotników i Żołnierzy oznajmiając Narodowi Polskiemu o tym zwycięstwie wolności nad wszechrosyjskim żandarmem oświadcza, że demokracja rosyjska stoi na stanowisku uznania narodowego i politycznego samookreślenia narodów i proklamuje, że Polska ma prawo być zupełnie niepodległą pod względem państwowo-międzynarodowym. Posyłamy Narodowi Polskiemu nasze braterskie pozdrowienia i życzymy mu powodzenia w nadchodzącej walce o ustanowienie w niepodległej Polsce ustroju demokratycznego i republikańskiego"

Dopiero pod wyraźnym wpływem i wrażeniem tej uchwały, co dostrzegli jasno już współcześni, między innymi znany polski publicysta i pisarz mieszkający we Francji, Wacław Gasztowt, wypowiedział się w kilka dni później w sprawie polskiej Rząd Tymczasowy. W wydanej 30 marca proklamacji, nie szczędząc pięknych słów opowiedział się wprawdzie za stworzeniem „niepodległego państwa polskiego", dodał jednak, iż będzie ono połączone z Rosją „wolnym przymierzem wojskowym", a konstytuanta rosyjska zatwierdzi jego przyszłe terytorium.

Warunki zastrzeżone przez burżuazję rosyjską ograniczały poważnie prawa narodu polskiego do samostanowienia o swoim losie. Dostrzegł to Lenin, który w kilka tygodni później podczas obrad VII ogólnorosyjskiej konferencji Partii Bolszewików powiedział: „Rząd nasz wydał manifest o niepodległości Polski i naszpikował go nic nie znaczącymi frazesami". Następnie stwierdził dobitnie, iż wspomniane ograniczenia dotyczące przymierza wojskowego i sprawy terytorium narzucone jednostronnie narodowi polskiemu oznaczają w rzeczywistości dalsze „ujarzmienie Polski przez burżuazyjną Rosję."

W tej ostrej krytyce polityki burżuazyjnego rządu rosyjskiego wobec sprawy niepodległości Polski ujawniło się w pełni wykształcone na przełomie XIX i XX wieku stanowisko Lenina w tej kwestii. Wódz proletariatu rosyjskiego już z domu rodzinnego wyniósł gorące sympatie dla narodów uciskanych przez carat, w tym Polski. W swej działalności rewolucyjnej Lenin stykał się wielokrotnie z działaczami polskimi, których cenił i szanował. Przejawiana przez niego sympatia dla Polski została pogłębiona przez małżeństwo z Nadieżdą Krupską, której rodzina posiadająca wśród przodków Polaków pielęgnowała tradycje polonofilskie. O powszechnym dążeniu narodu polskiego do niepodległości przekonał się Lenin podczas swego dwuletniego pobytu w Krakowie i Poroninie w latach 1912—1914. Hasło samookreślenia narodów proklamowane podczas kongresu londyńskiego II Międzynarodówki uczynił Lenin w swej praktyce rewolucyjnej oraz w programie i działalności kierowanej przez siebie partii bolszewików jednym z głównych instrumentów rewolucjonizujących walkę polityczną w państwie wielonarodowościowym. Walka, jaką prowadził polski ruch robotniczy przeciwko uciskowi narodowemu stanowiła dla Lenina jedno z istotniejszych źródeł inspiracji teoretycznej w tworzeniu rewolucyjnej koncepcji samookreślenia narodów, podporządkowanej zasadom internacjonalizmu proletariackiego. Dlatego też współpracując z SDKPiL i ceniąc ją za rewolucyjność i konsekwentny internacjonalizm równocześnie otwarcie krytykował tę partię za odcięcie się od walki o niepodległość państwa polskiego i negowanie jego perspektyw. Tak więc w Leninie i partii bolszewików, która już wkrótce miała zdecydować o losie Rosji, sprawa niepodległości Polski znalazła swego zdeklarowanego zwolennika.

Tymczasem państwa ententy aprobując odezwę rosyjskiego Rządu Tymczasowego zaakceptowały w pełni jego punkt widzenia na sprawę polską. Nawet utworzenie we Francji armii polskiej powołanej do życia dekretem prezydenta Raymonda Poincare'go z 4 czerwca 1917 r. nie zostało uzupełnione żadną deklaracją polityczną w sprawie przyszłych losów Polski. Wbrew powszechnym oczekiwaniom samych Polaków, jak i polonofilskiej w wielu wypadkach opinii publicznej na zachodzie Europy, ententa już z udziałem Stanów Zjednoczonych latem i jesienią 1917 r. nadal zachowywała milczenie w kwestii polskiej.

W tej sytuacji punktem zwrotnym, który wpłynął w sposób decydujący na dalszy bieg sprawy polskiej stała się zwycięska Rewolucja Październikowa w Rosji. Triumf proletariatu rosyjskiego kierowanego przez bolszewików i Lenina oznaczał dojście do władzy tych sił, które opowiadały się konsekwentnie i od dawna za niepodległością zarówno Polski, jak i innych uciskanych narodów. Dał temu wyraz jeden z pierwszych historycznych aktów władzy radzieckiej, jakim była opublikowana 2 listopada 1917 r. Deklaracja Praw Narodów Rosji. W oparciu o leninowskie zasady polityki narodowościowej uznała ona prawo każdego uciskanego przez carat narodu, a więc i Polski do samookreślenia „aż do oderwania się i utworzenia samodzielnego państwa".

Te ogromne pod względem znaczenia dla sprawy polskiej wydarzenia na wschodzie Europy nie zostały początkowo docenione przez Zachód. Kolejna konferencja szefów rządów koalicji, obradująca w Paryżu w dniach 29 listopada — 3 grudnia 1917 r., wskutek sprzeciwu premiera angielskiego Lloyd Georga nie ogłosiła programu odbudowy Polski jako jednego z celów wojny. Przybierający na sile wpływ idei Rewolucji Październikowej jak również fakt opublikowania przez władzę radziecką w grudniu 1917 r. tajnych dokumentów w sprawie polskiej, dotyczących stanowiska rządu francuskiego i carskiego z początku 1917 r., zmienił tę sytuację. Wyszły wówczas na jaw decyzje Brianda z marca 1917 r., dające caratowi wolną rękę w sprawie polskiej. Wywołało to głębokie rozczarowanie społeczeństwa polskiego wobec polityki ententy. W obawie przed wzmocnieniem nastrojów proniemieckich w Polsce, i rozpowszechnieniem się wśród klas uciskanych idei rewolucyjnych, ententa musiała przerwać milczenie w sprawie polskiej. Nastąpiła wówczas dopiero seria publicznych i oficjalnych wypowiedzi czołowych polityków koalicji w sprawie niepodległości Polski. Były to: deklaracja ministra spraw zagranicznych Francji, Pichona w Izbie Deputowanych z 27 grudnia 1917 r., przemówienie Lloyd Georga z 5 stycznia 1918 r. oraz 14 punktów prezydenta Wilsona z 8 stycznia 1918 r., z których 13-ty zapowiadał utworzenie niepodległego państwa polskiego, obejmującego ziemie zamieszkałe bezspornie przez ludność polską i mającego wolny i bezpieczny dostęp do morza.

Burżuazyjny Zachód zdający sobie sprawę z zagrożenia rewolucyjnego idącego ze wschodu, obok planów budowy podporządkowanej swym wpływom Polski jako państwa buforowego między Rosją Radziecką a Niemcami, jeszcze w tym czasie myślał równocześnie o powierzeniu tej roli monarchii habsburskiej, z którą dążono do zawarcia odrębnego pokoju. Gdy plany te spaliły na panewce, dopiero 3 czerwca 1918 r. podczas konferencji w Wersalu, państwa koalicji na wniosek Francji ogłosiły wspólną deklarację potwierdzającą utworzenie niepodległego i zjednoczonego państwa polskiego. Świadczyło to o żonglowaniu sprawą polską w zależności od aktualnej sytuacji i celów politycznych.

W przeciwieństwie do tej polityki Rosja Radziecka postępowała w sprawie polskiej w sposób konsekwentny i zgodnie z raz przyjętymi postanowieniami. Uwidoczniło się to podczas rokowań brzeskich, gdy delegacja radziecka w której skład wchodzili jako przedstawiciele proletariatu polskiego rewolucjoniści polscy: Stanisław Bobiński i Karol Radek, wystąpiła wobec państw centralnych z żądaniem pokoju bez aneksji i odszkodowań na podstawie prawa każdego narodu do niepodległości, oraz w akcie z 5 IX 1918 r. Był to dekret Rady Komisarzy Ludowych, który stanowił: „Wszystkie traktaty i akty zawarte przez rząd byłego imperium rosyjskiego z rządami królestwa pruskiego i imperium austro-węgierskiego dotyczące rozbiorów Polski z uwagi na ich sprzeczność z zasadą samostanowienia narodów i rewolucyjnym poczuciem prawnym narodu rosyjskiego, który narodowi polskiemu przyznał niezaprzeczone prawo do niepodległości i jedności, znosi się niniejszym bezpowrotnie".

Niezmiernie doniosłym dla sprawy niepodległości Polski był również wpływ idei Rewolucji Październikowej na sytuację wewnętrzną w dwóch pozostałych państwach zaborczych. W pobitych przez koalicję cesarstwach niemieckim i austro-węgierskim doszło na początku listopada 1918 r. do rewolucji demokratyczno-burżuazyjnych, w których wyniku monarchia Habsburgów rozpadła się całkowicie, a w Niemczech została pozbawiona tronu dynastia Hohenzollernów, reprezentująca imperialistyczne dążenia junkrów i burżuazji.

Jest rzeczą oczywistą, iż przypomniana wyżej i korzystna tym razem dla sprawy polskiej sytuacja międzynarodowa, jaka pod wpływem wielu czynników wykształciła się wówczas, sama przez się nie mogła by sprawić, iż nad ówczesnym pokoleniem polskim w pierwszych dniach listopada 1918 r. zaświtała jutrzenka wolności. O wskrzeszeniu państwa polskiego do niepodległego bytu po 123 latach niewoli zdecydował także i przede wszystkim sam naród polski, który nie zaprzepaścił swej dziejowej szansy.

Wiesław Śladkowski

Kamena str. 3

Gdy już przeszli

Dokończenie ze str. 1

Pierwsza — o rzekach

Kiedyś mój starszy wiekiem i piórem kolega, Janusz Przymanowski napisał powieść „Żołnierze czterech rzek". Po latach zacząłem je liczyć: Oka, Bug, Wisła, Odra, Łaba... No to pięć. Którą odrzucić?

Po chwili zastanowienia naliczyłem tych rzek, znaczących dla Polaków i żołnierzy polskich co najmniej dwadzieścia.

Gdy jednak sięgnąłem po mapy i dokumenty, znalazłem ich trzydzieści. Tych, o które walczono, lub które dla Polski grały rolę nieprzeciętną. Na przykład — Oka. Nie walczono nad nią. Ale ją odrzucić?

Albo — Łobżonkę. Maleńka rzeczka. Ale wielki symbol. Tędy do września biegła polsko-niemiecka granica. I oto my, żołnierze, ją sforsowaliśmy.

A jeszcze były: rzeki — Wol na Smoleńszczyźnie i maleńka Kurówka na Lubelszczyźnie. Potem — Wilga. Jeziorka pod Warszawą i Biała Rzeka pod Gdańskiem. Mnóstwo kanalików, rzek, rzeczek w Niemczech. Nawet nie zanotowanych w kronikach.

Gdy się uprzeć — będzie ich na żołnierskiej drodze i pięćdziesiąt. Znaczących — co najmniej trzydzieści.

Każda zaś — albo prawie każda — pociągała śmiertelne ofiary piechurów i artylerzystów, i wiele godzin trudu saperskiego. Ci cieśle wojny niewiele miewali wolnych nocy. Mam dla nich największy szacunek. Bez ich młotów, siekier, pił, „bab" — nie byłoby marszu do zwycięstwa.

To dzisiaj są samojezdne mosty. To dzisiaj w minutach przerzuca się most przez największą przeszkodę wodną. Wtedy — każdy słup, każdy gwóźdź musiał być wbity przez sapera.

Chwała więc i im — żołnierzom topora.

Druga — o światowej cenie wojny

Na 30-lecie Ludowego Wojska Polskiego przeprowadziłem rozmowę z — nieżyjącym już dzisiaj — płk. Edwardem Skrzypkowskim, ówczesnym redaktorem naczelnym miesięcznika „Wojsko Ludowe", człowiekiem piszącym i skłonnym do różnych refleksji.

Poprosiłem go o najkrótszy i syntetyczny obraz II wojny światowej. Przyznaję — potem jeszcze wycinałem każde słowo, bez którego można się było obejść. Uważałem, że przymiotniki są tu niepotrzebne.

Pułkownik Skrzypkowski nie zaprotestował przeciwko tej mojej ingerencji. W tej wersji przedstawiam jego obliczenia.

— W drugiej wojnie światowej uczestniczyło 61 państw. To znaczy: 1 miliard 700 milionów ludzi, czyli 80 procent ówczesnej ludności świata. Wojna toczyła się na terytorium 40 państw, na trzech kontynentach: Europy, Azji i Afryki.

Pod broń powołano 110 milionów żołnierzy, nie licząc partyzantów. To dalsze setki tysięcy ludzi.

Koszt: na cele wojny przeznaczono wtedy 70 procent dochodu narodowego walczących krajów. W dolarach: 1 bilion 200 miliardów.

Straty w ludziach: zginęło 55 milionów ludzi, 35 milionów odniosło rany. Dziesiątki milionów chorych, inwalidów, porażonych chorobami umysłowymi...

Czy trzeba — więcej?

Trzecia — finis Prusiae

Znakomity znawca spraw Niemiec, prusactwa, hitleryzmu Jan Edmund Osmańczyk, opowiadał kiedyś nie tylko mnie prywatnie, ale i słuchaczom radiowym:

— Z początkiem maja, czterdziestego piątego roku, w znanym mi Berlinie, zobaczyłem pomnik Bismarcka. „Żelaznemu Kanclerzowi" pociski artyleryjskie wystrzeliły z rąk bullę, konstytucję Rzeszy Pruskiej z 1871 roku. I w te ręce — symbol władzy „Żelaznego Kanclerza" dowcipni żołnierze radzieccy wsadzili dwie łopaty do roboty. A na cokole ktoś napisał: „Finis Prusiae".

Koniec Prus!

— I ostem myślałeś o pisaniu „Spraw Polak..."?

— Tak. Gdy Prusy odeszły bezpowrotnie, gdy przed nami i Niemcami stanęło zadanie wyścigu już innego — pracy.

Pozostał Jan Edmund Osmańczyk wierny tematowi — w „Rzeczpospolitej Polaków".

Najważniejszy był ówczesny wniosek — koniec Prus. I — prusactwa.

Czwarta — o dowódcach plutonów

Także żołnierz i także pisarz, Jerzy Korczak, potraktował mnie kiedyś refleksją o szczególnie gorzkim umieraniu w rozsłonecznionym kwietniu lub maju — 1945.

Zripostowałem.

— Jurku, ale i w pochmurnym lutym na Wale Pomorskim także nie chciało się umierać.

— Prawda, ale słońce zawsze szczególnie kusi...

Dziwnym meandrem pobiegły wtedy moje myśli. Właśnie miałem przed sobą notkę biograficzną chorążego Józefa Bałki z naszego, 7 Kołobrzeskiego Pułku Piechoty. Przyszedł na stanowisko dowódcy plutonu w 8 kompanii strzeleckiej 19 lutego 1945. Zginął w Kołobrzegu 11 marca.

Dwaj inni — tym razem oficerowie polityczni z mojego pułku. Ppor. Bolesław Myga trafił na stanowisko zastępcy dowódcy baterii 76 mm — po poległym w Kołobrzegu chor. Bazylim Stangórskim — z końcem marca 1945. Poległ — w pierwszym dniu operacji berlińskiej, 16 kwietnia.

Tego samego dnia zginął inny zastępca polityczny — w 6 kompanii strzeleckiej — chor. Grzegorz Kucharzewski. Powtarzam — 16 kwietnia. Stanowisko zaś objął... 15 kwietnia.

Wróciła wtedy myśl, której słuchałem nie raz na froncie, a rejestrowana także obecnie podczas czytania radzieckich i polskich pamiętników wojennych. Myśl, o bezlitośnie krótkim życiu na froncie dowódców plutonów. Dwa tygodnie, góra trzy... Chyba, że odniósł ranę, albo go awansowano.

Teraz w materiałach Centralnego Archiwum Wojskowego natrafiłem na noty biograficzne żołnierzy mojej dywizji 3 piechoty. Podejrzewam, że identyczny obraz uzyskałoby się, przeglądając noty którejkolwiek frontowej dywizji. Jeśli sięgam do swojej, to dlatego, że niektóre twarze, choćby migawkowo — zapamiętałem.

Proszę popatrzeć na jedenaście nazwisk i towarzyszące im daty. Pierwsza — rok urodzenia, druga — przybycia do pułku, trzecia — śmierci. Wszyscy przyszli ze szkół oficerskich — w Złotowie, Krakowie, Lublinie — na operację berlińską.

Borowski Bolesław, ur. 1925, marzec 1945, 18.IV.
Burdzanowski Wiesław, 1920, 19.III.45, 16.IV.
Głowacki Mieczysław, 1917, 27.III.45, 29.IV.
Horowitz Witold, 1925, 29.III.45, 29.IV.
Kościuk Walenty, 1924, 19.III.45, 16.IV.
Koza Emanuel, 1924, marzec, w Kołobrzegu, 16.IV.
Lipski Władysław, 1923, marzec, w Kołobrzegu, 16.IV.
Martynowicz Tadeusz, 1919, 29.III.45, 18.IV.
Nejfeld Gerard, 1909, 27.III.45 16.IV. — ranny 18.IV. — zmarł.
Sewaściukiewicz Michał, 1924, 27.III.45, zaginiony bez wieści — 28—30.IV.
Wójcicki Marian, 1915, 27.III.45, 29.IV.

Jedenaście nazwisk. Wszyscy przyszli do pułku w marcu. W większości wtedy, gdy trwał odpoczynek po kołobrzeskiej bitwie. Operacja berlińska zaczęła się 16 kwietnia.

Proszę więc od tej daty liczyć żywot dowódcy plutonu na froncie. Tydzień — dwa...

Jednak — prawda.

Piąta — o najmłodszych

Pisałem o nich wielokrotnie. O „synach pułków", ale częściej o najmłodszych żołnierzach, walczących bez taryfy ulgowej. Fałszowali rok urodzenia, mienili się sierotami, uśmiechali się do sierżantów z komisji werbunkowych, stawali na palcach, byle tylko wydać się starszymi.

Chcieli być żołnierzami. Byli. Napisałem o nich dwie powieści, tom opowiadań, kilka felietonów i artykułów. Podejrzewam — choć czasem jestem kąśliwy, spieram się z rówieśnymi (też miałem 17 lat idąc na wojnę) o ocenę zasług — że i ta prawda skąpo jest znana społeczeństwu.

A przecież: urodzonych w roku 1925, łącznie z bitwą pod Lenino w roku 1943, poległo i zaginęło bez wieści — 1392 żołnierzy, urodzonych w 1926—1948.

Urodzonych w 1927 — 253.

Młodszych — 115.

Wśród tych ostatnich byli piętnastoczternastolatkowie także. Dziś w tym wieku byliby w wyższych klasach szkoły podstawowej.

Szósta — generalska

To zapewne skrzywienie żołnierza frontowego. Ilekroć ukazuje się komunikat o generalskich nominacjach, o ministerialnych awansach — natychmiast szukam — w pamięci lub dokumentach — informacji: Czy wtedy był żołnierzem?

Byli. Wszyscy nasi kierownicy ministerstwa Obrony Narodowej. Z jednym wyjątkiem — ówczesnego majora, później podpułkownika Józefa Urbanowicza, zastępcy dowódcy 4 dywizji — pełnili funkcję młodszych oficerów. W większości — na froncie.

Po kolei.

Minister obrony narodowej generał armii Wojciech Jaruzelski, wtedy był dowódcą plutonu zwiadu konnego 5 pułku piechoty w 2 dywizji piechoty, a następnie II pomocnikiem szefa sztabu pułku (do spraw rozpoznania). Od początku do końca frontowych walk 5 pp.

Wiceministrowie:

Gen. broni Józef Urbanowicz — już wspomniany przed chwilą.

Gen. broni Włodzimierz Sawczuk — w Berlinie — kapral 3 pułku piechoty 1 dywizji piechoty, dowódca drużyny ckm.

Gen. broni Florian Siwicki — w szkołach oficerskich, dowódca plutonu, dowódca kompanii. Szkolił frontowe kadry oficerskie.

Generał broni Eugeniusz Molczyk — wtedy dowódca plutonu, a następnie dowódca kompanii czołgów w 1 Korpusie Pancernym.

Generał broni Tadeusz Tuczapski — w końcówce wojny, po ukończeniu oficerskiej szkoły artylerii — dowódca plutonu artylerii w 11 pułku piechoty 4 dywizji. Ranny pod Birkenwerder.

Generał broni Mieczysław Obiedziński, dziś — główny kwatermistrz Wojska Polskiego, wtedy — oficer mundurowy, a potem oficer żywnościowy, 8 pułku piechoty 3 dywizji, a po wojnie — kwatermistrz tej dywizji.

Generał broni Zbigniew Nowak — główny inspektor techniki — wtedy dowódca plutonu w 2 samodzielnym zmotoryzowanym batalionie miotaczy ognia.

Myślę, że te niezwykle skrótowe frontowe wizytówki generałów godne są szerszej prezentacji.

Siódma — sojusznicza

Trudno tu o jednoznaczne liczby. Najniższa mówi o 16 tysiącach, najwyższa — o 20 tysiącach oficerów radzieckich, skierowanych do służby w Wojsku Polskim, na różne stanowiska dowódcze. Każdy chyba ma rację, bo przyjmuje różne okresy. Pierwsi — tylko czas wojny, ostatni — łącznie z latami pięćdziesiątymi, przy czym niektórzy oficerowie (choćby jak gen. Bolesław Kieniewicz) liczeni podwójnie, bo powrócili do Związku Radzieckiego wkrótce po wojnie, a potem znowu pełnili służbę w Wojsku Polskim, głównie do 1956 roku.

Na łamach tej książki starałem się ukazać niektóre piękne postacie: Kononkow, Jakimionek, Berezowski, Goranin, Samar, Kunysz i inni. Z samych nazwisk poległych w polskich mundurach można by stworzyć niemałą książeczkę.

Próbuję więc zatrzymać się tylko na postaciach dowódców, powyżej batalionów.

I tak:

Zginęło 2 generałów: gen. bryg. Michał Gromagin, zastępca dowódcy wojsk pancernych i zmechanizowanych;

gen. bryg. Aleksander Waszkiewicz — dowódca 5 dywizji piechoty.

Z dowództw dywizji:

płk Jan Szutko, liniowy zastępca dowódcy 1 dywizji piechoty — poległ na Wale Pomorskim.

mjr Bronisław Marczewski — polityczny zastępca dowódcy 3 dywizji piechoty, zginął w operacji berlińskiej. Był to Polak, urodzony w Warszawie, działacz KPP, od lat trzydziestych w ZSRR, w czasie wojny doszedł do stopnia kapitana w Armii Radzieckiej.

Dowódca brygady — 16 pancernej — płk Michał Kudriawcew — poległ za Nysą.

Dowódcy pułków, chronologicznie:

ppłk **Kazimierz Kulczycki**, dowódca 7 pułku artylerii haubic — poległ 23.IV. 1944 (z rąk UPA).

ppłk **Mikołaj Berezowski** — dowódca 9 pułku piechoty — poległ na Wale Pomorskim — 13.II.1945.

ppłk **Jan Taldykin** — dowódca 1 pułku lotnictwa myśliwskiego — poległ w locie na Kołobrzeg 16.III.1945.

ppłk **Anatol Przybylski** — dowódca 15 pułku artylerii przeciwlotniczej, poległ w Kołobrzegu, 18.III.1945.

ppłk **Ignacy Goranin** — dowódca 6 pułku piechoty, poległ w operacji berlińskiej — 20.IV.1945.

Ppłk **Grzegorz Samar** — dowódca 8 pułku piechoty — poległ w operacji berlińskiej, 25.IV.1945.

Płk **Wiktor Artiemienko** — dowódca 24 pułku artylerii pancernej, poległ 17. IV.1945 za Nysą.

Płk **Piotr Fizyn** — dowódca 25 pułku artylerii pancernej, zmarł z ran odniesionych za Nysą, 27.IV.1945.

Ppłk **Nikifor Jaśkiewicz** — dowódca 29 pp, zmarł z ran odniesionych za Nysą — 23.IV.1945.

Ppłk **Sergiusz Raskow** — dowódca 6 pułku artylerii lekkiej, zmarł z ran odniesionych w operacji berlińskiej, 4.V. 1945.

Poległo więc — **10 dowódców pułków.** I jeszcze szef artylerii 3 dywizji piechoty płk Władysław Lubiński (w operacji berlińskiej) i oficer zarządu polityczno-wychowawczego 1 armii — mjr Kazimierz Kuss (na Wale Pomorskim).

To — ledwie reprezentacja. A iluż poległych dowódców batalionów, kompanii i plutonów.

W ostatnich swoich miesiącach walczyli i ginęli — w polskich mundurach. Z polskimi orłami na czapkach. Nie-

trzydzieści rzek

którzy — do końca mówili po rosyjsku, inni — najwyżej archaicznąpolszczyzną.

Byli — wszyscy — żołnierzami Wojska Polskiego.

Ósma — cena

Jestem zwolennikiem precyzyjnych liczb. Wiem jednak, że w tej sprawie jest o nie niezwykle trudno. Wykazywani w sprawozdaniach jako polegli — odzywali się ze szpitali, inni, podobno żywi — po latach dopiero naprawdę znaleźli się na listach strat. Słowem — ruch statystyczny był i jest w obie strony i — przypuszczam — znoszą się wzajemnie te błędy.

Przyjmijmy więc opublikowaną przez Księgę Poległych 1943—1945 liczbę poległych, zmarłych z ran, zmarłych z chorób (a większość ich miała ścisły związek ze służbą frontową, np. przeziębienia), zaginionych bez wieści.

Wynosi ona — 28.352.

To — frontowy odpowiednik trzech dywizji piechoty.

To trochę mniej, niż ma dzisiaj mieszkańców wojewódzkie miasto Suwałki, dużo więcej, niż inne wojewódzkie miasto — Sieradz. Więcej niż ma Ciechanów, tyleż — co Łomża.

Proszę to sobie wyobrazić...

Dziewiąta — nazwy

Dywizje i pułki zdobywały na swojej bojowej drodze nazwy — przymiotniki.

1 i 2 dywizje piechoty, 1 brygada kawalerii — Warszawskich.

3, 4 i 6 dywizje piechoty — Pomorskich.

1 pułk piechoty — Praskiego.

2 i 3 — Berlińskiego.

7 pułk piechoty i 3 pułk artylerii lekkiej w 3 dywizji, 12 — w 4 dywizji, 16 18 pp i 23 pal — a potem także i 14 pp — Kołobrzeskich.

8 pp — Bydgoskiego.

9 pp — Zaodrzańskiego.

Podobnie nadawano tytuły jednostkom artyleryjskim, pancernym i innym.

W drugiej armii — przyznawano tytuły: drezdeńskich, budziszyńskich, łużyckich i saskich.

Sztandary dywizji i pułków — dekorowano — polskimi i radzieckimi orderami bojowymi.

Prawda, zdarzyła się pomyłka i w nazewnictwie. Nie było jej wszakże wtedy, gdy nadawano imię „Warszawskiej" jednostce, która n i e walczyła w Warszawie. Na przykład — 2 brygadzie saperów. Ona to przez wiele miesięcy usuwała z warszawskich budynków, dróg i gruzów ukrytą, zardzewiałą śmierć. Przeto słusznie — Warszawska.

Dziesiąta — dwa meldunki i jeden rozkaz

Pierwszego maja 1945 roku, z Berlina i spod Berlina pośpiesznie ściągano ze wszystkich dywizji piechoty, brygad artylerii — wybranych oficerów lub podoficerów.

Z 1 dywizji był to podpułkownik Zygmunt Duszyński, zastępca dowódcy 3 pp, z naszej, 3 dywizji piechoty ppor. Roman Borejza dowódca 1 kompanii moździerzy 7 pp. Z szóstej — starszy sierżant Julian Tobiasz, oficer polityczny batalionu szkolnego. Lotników reprezentował — kpt. Michał Jakubik, artylerzystów ciężkich — chor. Jan Paluch, prasę wojskową — por. Janusz Przymanowski.

Trudno dziś odtworzyć wszystkie nazwiska kilkunastu osób. Na czele delegacji armii stanął zastępca dowódcy armii do spraw polityczno-wychowawczych, właśnie mianowany pułkownikiem, Piotr Jaroszewicz.

Pośpiesznie ruszyli do Warszawy. Ironia dopadła i na tym szlaku. Zepsuł się najszybszy, zdobyczny wóz pułkownika. Frontowe, wysłużone maszyny prychały, ale jechały równo. Mimo przeszkód wszyscy zdążyli do sali „Romy", gdzie odbywało się posiedzenie Krajowej Rady Narodowej.

I tu, przed ludowym parlamentem, ściągnęli nogi w postawie zasadniczej, żołnierze — członkowie delegacji.

Jej szef, pułkownik Jaroszewicz meldował:

„... — Składam na ręce Wasze, Obywatelu Prezydencie, Wysokiej Izby, dla narodu polskiego pozdrowienia od naszych jednostek, które brały udział w zdobyciu Berlina, walczących obecnie w pościgu za wrogiem nad brzegiem Łaby...

... Jesteśmy dumni, że meldujemy się dziś w Warszawie, którą wyzwolił swą krwią i męstwem żołnierz 1 armii...

... Po przekroczeniu dawnej granicy wstąpiliśmy na Zachodnie Pomorze i rozpoczęliśmy walkę o przywrócenie Polsce prastarych ziem, na starym szlaku Krzywoustego...

... W trzecim etapie dobijania wroga na jego własnej ziemi 1 armia w zwycięskim boju sforsowała i wytyczyła granice Polski na zachodnim brzegu rzeki (Odry — A. S.). Po zdobyciu szeregu miast i wsi niemieckich wdarliśmy się w głąb Niemiec. Dziś jednostki 1 armii szturmują gniazdo najeźdźcy — Berlin i gonią Niemców ku Łabie.

Na ruinach Berlina, obok zwycięskich chorągwi czerwonych powiewają nasze sztandary. Na szlaku od Wisły do Berlina i Łaby zadaliśmy wrogowi ciężkie straty: zabito 55 tysięcy niemieckich żołnierzy i oficerów. Wzięto do niewoli 28 tysięcy Niemców, zniszczono 108 czołgów i dział samobieżnych, zdobyto 98 czołgów i dział samobieżnych, zniszczono 763 działa różnego kalibru, zdobyto 652 działa, zniszczono 1500 cekaemów zdobyto 1900 cekaemów, zniszczono ponad 500 bunkrów nieprzyjaciela...

Walcząc ramię przy ramieniu z bohaterską Armią Czerwoną, doznawaliśmy od niej niejednokrotnie pomocy i podtrzymywania dodatkowymi środkami ognia i techniki...

W twardym znoju pracy i krwi zdobyliśmy zwycięstwo. Jesteśmy pełni wiary w nową demokratyczną Polskę, o którą walczyliśmy i której na pewno potrafimy bronić przed wszelkimi zakusami. Jesteśmy i pozostaniemy mieczem polskiej demokracji, uosobionej w Wysokiej Izbie, w Was, Prezydencie i Rządzie Tymczasowym. I armia nigdy was nie zawiedzie".

Po tym meldunku — tu zamieściłem tylko jego część — rozszalały się oklaski członków Krajowej Rady Narodowej. To była świadomość polskiego udziału w zwycięstwie, udziału który jak policzą później historycy lokował nas, Polaków, z prawie 400-tysięcznym wojskiem — na trzecim—czwartym miejscu antyhitlerowskiej koalicji. To ta sama, choć wyczerpana gospodarczo, wyniszczona ludzko Polska — zadaje ostatnie ciosy brunatnemu napastnikowi.

Zrozumiała przeto ta niekończąca się owacja dla żołnierzy w spłowiałych mundurach, zakurzonych w podróży spod Berlina do Warszawy.

Dnia następnego — 3 maja — w drugim dniu obrad KRN — przybyły jeszcze dwie delegacje: 2 armii Wojska Polskiego i 1 korpusu pancernego.

W imieniu 2 armii WP meldunek składał polityczny zastępca dowódcy płk Edmund Pszczółkowski, który wcześniej był — nad Wisłą — zastępcą dowódcy 3 dywizji piechoty, a pod Lenino — zastępcą dowódcy batalionu szkolnego 1 dywizji.

„Przybyłem na czele delegacji oficerów i żołnierzy 2 armii polskiej, przybyłem, aby zameldować, że 2 armia spełniła swój obowiązek wobec Ojczyzny: przerwała front na Nysie i posunęła się kilkadziesiąt kilometrów naprzód. Przebyliśmy ciężkie walki. Odpieraliśmy natarczywe ataki nieprzyjaciela, ale po tych walkach 2 armia jest jeszcze silniejsza, jest jeszcze mocniejsza i gotowa do wypełnienia dalszych zadań. Żołnierze polscy stoją na froncie i czekają dalszych rozkazów, by dobić do końca wroga".

Nie był to, jak zauważy łaskawy Czytelnik, zwrot tylko retoryczny. Jeszcze na 2 armię czekała operacja praska. Jeszcze ginęli żołnierze w rejonie Budziszyna.

Również i 2 armii WP, podobnie jak wczoraj pierwszej — Wysoka Izba przesłała najserdeczniejsze gratulacje i pozdrowienia.

W tydzień później, Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego wydało rozkaz na zakończenie wojny.

Przypomniało w nim Westerplatte i Warszawę września 1939. Partyzancki udział i powstanie warszawskie. Lenino i Berlin, Łabę i Nysę.

... „Wasz trud bojowy nie poszedł na marne. Uzyskaliście dla Polski wiekopomne zdobycze — powrót naszych starych ziem i trwały sojusz ze Związkiem Radzieckim, filar bezpieczeństwa naszego kraju na przyszłość. Wam dane było nie tylko wyzwolić miliony Waszych braci i sióstr z hitlerowskiej niewoli, ale również przywrócić wolność wielonarodowym rzeszom więźniów obozów hitlerowskich. Dzisiaj, gdy wojna dobiegła zwycięskiego końca, zadaniem Waszym jest zabezpieczenie na wieki naszych granic, zapewnienie warunków dalszego niezakłóconego rozwoju potęgi Polski, opartej na zdobyczach demokracji.

...Naród i państwo nie zapomni nigdy Waszych zasług. Zasłużona nagroda spotka tych, co brali Warszawę, forsowali Wał Pomorski, zdobywali Kołobrzeg, Gdynię, Gdańsk, forsowali Odrę, Nysę, Szprewę, Kanał Hohenzollernów, osłaniali z południa wielkie operacje ofensywne na stolicę hitlerowskich Niemiec i zadawali ostatnie ciosy wrogowi pod Berlinem i w Berlinie, pod Dreznem, nad dolną i górną Łabą. Naród i państwo nie zapomną żadnej zasługi bojowej, żadnej kropli krwi przelanej o Polskę na wszystkich frontach świata".

I dosłownie — następnego już dnia saperzy czesali polskie pola, by mogły znów rodzić zboże i buraki; od następnego dnia polskie pułki 1 dywizji rolno-gospodarczej — zgodnie z tym, co czyniły już od tygodni — obsiewały i obsadzały polską ziemię na Pomorzu.

I wracały do kraju okryte sławą i krwią najserdeczniejszą, bojowe dywizje. Ich czyn — nad Nysą Odrą i w Berlinie nie może być zlekceważony, gdy wkrótce w Poczdamie przedstawiciele wielkich mocarstw dyskutować będą o zachodniej granicy Polski.

Wracają frontowe dywizje do kraju, by utrzymać pokój i spokój na umęczonej polskiej ziemi, którą niektórzy znów chcieli widzieć w pożarach, zgliszczach, w potokach łez.

Jeszcze ginął saper i piechur. Czołgista i lotnik. Bronili młodej władzy, jej reform społecznych, gospodarczych, kulturalnych przed wszelkim wstecznictwem. Byli — „mieczem demokracji."

Potem, gdy już zdjęli pasy, stanęli przy pługach i młotach, zasiedli w szkolnych ławach — służyli nowej, młodej, ludowej Polsce swymi dłońmi i umysłami. Najlepiej, jak potrafili.

Wielu — służy do dziś.

Zgodnie z zapowiedzią ówczesnego zastępcy dowódcy 1 armii że:„ 1 armia nigdy was nie zawiedzie"

Bardziej doświadczeni o z górą trzydziestki lat — rozszerzymy to pojęcie:

ci żołnierze, żołnierze Zwycięstwa, co szli przez 30 rzek, krwawili, czołgali się w męce, maszerowali w bólu, walczyli i pokonywali wroga — nigdy Polski nie zawiedli.

Alojzy Sroga

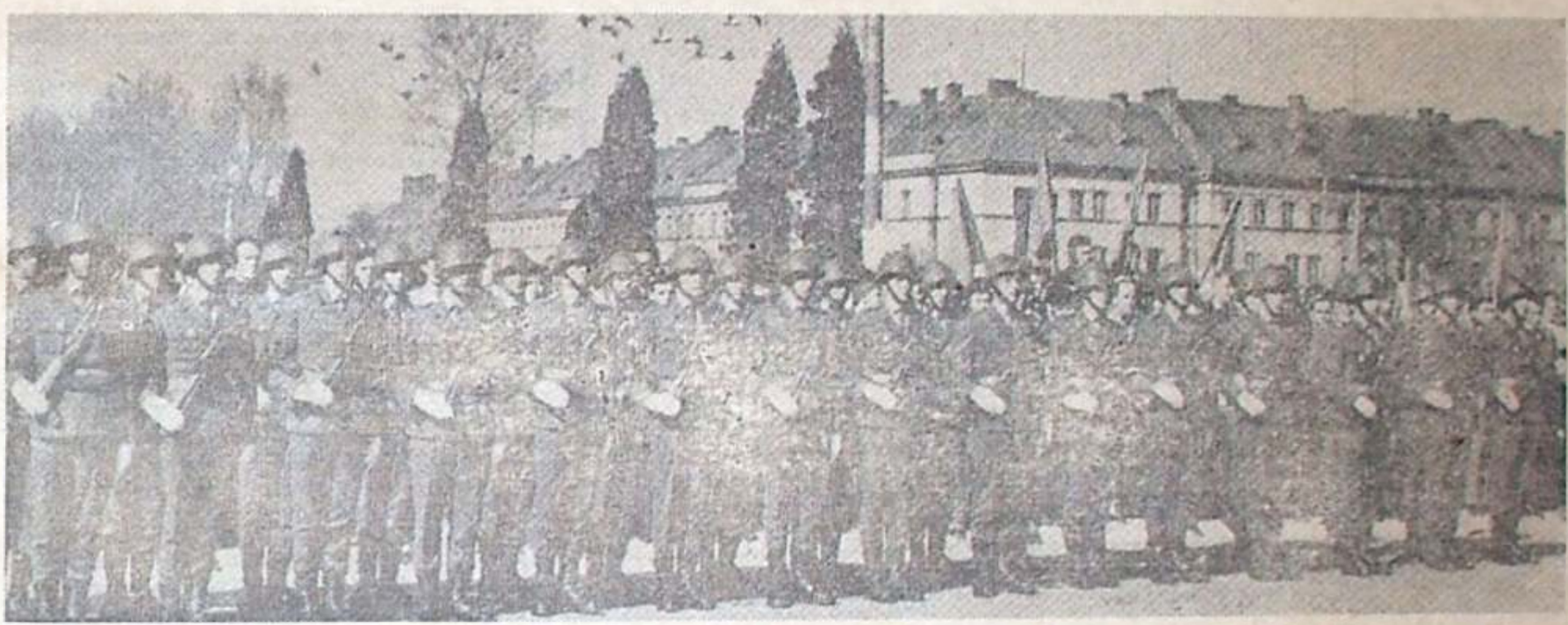

Fot. J. Trembecki

Końcowy fragment książki „Do zwycięstwa przez 30 rzek", która w najbliższych dniach ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej

Kamena str. 5

WIERSZE POETÓW NRD
w tłumaczeniu Bożeny Kowalowej

Christa Alten

ZAANGAŻOWANIE

Porywa mnie wartki nurt.
Współczesność napiera na mnie.
Nie zamknę przed nią porów mojej skóry,
nie będę gładkim, hartownym kamieniem.

Wszystko wchłaniam w siebie,
co mnie dosięga i co mnie kaleczy,
czego doświadczam: dobra czy goryczy,
to wszystko osiada we mnie.

Wszystko mnie dotyczy.
Dyszy z pośpiechu hartowny jak stal
czas, maszyna, która mnie przetwarza.
Nie dba o dziś, o jutro kamień, który mnie przeżyje.

MOIM CHILIJSKIM PRZYJACIOŁOM WRZESIEŃ 1973

Śmierć
pobrzękuje łańcuchem na waszych ulicach

rozbija
drzwi domów
twarze
tej krwawej jesieni

zdalnie sterowani najmici
przynoszą swoje mleko i chleb
napełniają gardła krwią
wasze usta ziemią

dym
wije się po ulicach
ze stosów palonych książek
wzlatują słowa Recabarrena Allende Nerudy
pieśni Victora Jary
łopocą jak sztandar nad kontynentem

Martin Stephan

INNE CIAŁO

To niesłychane
inne serce
bije
drży

To niesłychane
inne członki

inna skóra
pachnie łagodnie

zaledwie tknięta
muśnięciem cudzej ręki

napina się
marszczy
świadectwo istnienia
jestem jednak
tylko
inną ręką
skórą
sercem

Bettina Wegner Schlesinger

NIE COFAJ TWEGO BŁOGOSŁAWIEŃSTWA

Nie cofaj twego błogosławieństwa
pozostaw mi twoje ręce,
twoją miłość, pozostań tu
w porze odlotu ptaków.

Kiedy wychodzisz,
zawróć od drzwi,
wysłuchaj mnie, zanim wyjdziesz,
wysłuchaj moich pieśni.

Połóż twą rękę na mej twarzy,
ukryj przed światem,
wtedy, o miły, nie trwoży mnie nic
co się potem wydarzy.

Nie cofaj twego błogosławieństwa,
pozostaw mi twoje ręce,
twoją miłość, pozostań tu
w porze odlotu ptaków.

CHRISTA ALTEN, ur. w 1936 r. w Berlinie, absolwentka Centralnej Szkoły Oświaty Kulturalnej w Meissen-Siebeneichen, w 1960 r. bibliotekarski egzamin państwowy, pracuje jako bibliotekarka dyplomowana.
MARTIN STEPHAN, ur. w 1945 r. w Köthen, aktor w teatrze lalkowym, pisarz, autor scenariusza filmowego pt. „Bankiet dla Achillesa" (Bankett für Achilles") 1975 r., oraz tomu prozy pt. „Statki niekiedy idą na dno" („Schiffe gehen gelegentlich unter") 1975 r.
BETTINA WEGNER-SCHLESINGER, ur. 1947 r. w Berlinie, w 1968 r. dyplom Szkoły Teatralnej w Berlinie, od r. 1971 śpiewaczka zawodowa.

PRO DOMO SUA

KIEDY w redakcji mówimy między sobą, że coś działo się w starej „Kamenie", to wiadomo naturalnie, iż nie chodzi o najdawniejszy, chełmski okres, tylko o lata, w których redakcja mieściła się w lokalu Związku Literatów przy ulicy Granicznej w Lublinie. Są to lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte.

W starej „Kamenie" panował nastrój niemal familijny, domowy. W dwóch obszernych pokojach zajmowanych pospołu z literatami na parterze willi księdza Zaleskiego stały przemieszane z urzędniczymi biurkami, „a la lata pięćdziesiąte" — mocno statygowane bidermajery: kanapki i fotele z powycieranymi obiciami, przepasina szafa biblioteczna z masą nieuporządkowanych książek polskich, rosyjskich, niemieckich, angielskich, francuskich. Niektóre meble miały dodatkową wartość: historyczną. Pochodziły jakoby z pałacu w Ciechankach, gdzie w okresie Polski Lubelskiej literaci mieli swój dom pracy twórczej. Pod ścianami stały kozetki, na których nocowali przyjeżdżający do Lublina literaci (nocleg 30 zł), a nierzadko miejscowi młodzi adepci pióra, którym się akurat „meta" spaliła, lub zostali wylani z akademika; tym opłatę prolongowano ad infinitum. W ten sposób niejedną noc spędził w starej „Kamenie" późniejszy autor „Jednego dnia" i „Siekierezady" Edward Stachura, a nie inaczej bywało i z niżej podpisanym.

Z pierwszego pokoju zwanego szumnie sekretariatem wychodziło się do pełnego kwiatów ogrodu. Stała w nim drewniana altanka z wygodnym stołem, przy którym odbyła się niejedna narada redakcyjna i gdzie pękła niejedna butelka.

Ale głównie integrował nas długi, ciemny stół stojący w drugim, większym pokoju. Odbywały się przy nim rozmowy, narady i kolegia redakcyjne, a poza tym... służył on jako stół biesiadny. W starej „Kamenie" nie gardzono życiem towarzyskim, a to się często wiązało z dobrym jadłem i napitkiem — oczywiście po godzinach pracy — wspomaganymi jeszcze pięknym słowem i celnym dowcipem.

Kto opisze kiedyś owe imieniny, przyjęcia z okazji otrzymanych nagród, przedświąteczne „rybki", w czasie których kielich krążył wartko, ale też Konrad Bielski na zmianę z Zygmuntem Mikulskim recytowali strofy poetów i wieszczów?! Kto odtworzy tamte intelektualne tyrady wygłaszane przez Bielskiego, często kraszone rubasznymi, dosadnymi wstawkami, to znów nasycające się głębokim, filozoficznym dowcipem! Z kuchni dochodziło szczękanie talerzy i sztućców, w sekretariacie pani Olga Gajewska parzyła kawę dając zarazem baczenie na całe „przyjęcie". Wpadało się na chwilę do gospodarzy, państwa Cymków na pogawędkę, albo do ogrodu, aby w chłodnym świetle księżyca orzeźwić głowę. Wychodziliśmy z redakcji późnym wieczorem, odprowadzając po kolei do domów najstarszych i najdostojniejszych członków redakcji i jeszcze długo spacerowaliśmy po ulicach, po parkach, nie mogąc się nagadać, nadyskutować do syta.

Może dlatego tak dokładnie pamiętam starą „Kamenę", że właśnie w jej najbardziej bujnym okresie zacząłem pracować w redakcji. Wprawdzie z „Kamenią" współpracowałem stale od końca 1957 r., ale dopiero na początku 1963 r. nastąpił zasadniczy zwrot w życiu pisma, otworzyły się nowe możliwości, również etatowe. Wiązało się to z tzw. „unią" czterech ówczesnych województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego: „Kamena" miała penetrować społeczno - kulturalny obszar owego makroregionu.

Będąc oficjalnie organem Lubelskiego Oddziału ZLP utrzymywaliśmy się z dotacji wydziałów kultury poszczególnych województw, przy czym główny ciężar finansowy spoczywał na barkach lubelskiego Wydziału Kultury PWRN. Chociaż nigdy nie było mowy o cofnięciu dotacji, to pod koniec każdego roku budżetowego szef administracji „Kameny", Wacław Gralewski, dawał nam „na wszelki wypadek" trzymiesięczne wymówienie, aby następnie, od 1 stycznia, „ponownie" nas zatrudnić — oczywiście z zachowaniem ciągłości pracy. Pensje były niskie, większość — ryczałty i półetaty. W redakcji liczyło się każdą złotówkę i dobrze pamiętam, że gdy w 1966 r. zostaliśmy nareszcie „upaństwowieni" stając się pismem RSW „Prasa", jeszcze przez długi czas jeżdżąc w teren nie korzystałem z przysługującej mi na kolei pierwszej klasy, ani z wagonu sypialnego. Po prostu... zapominałem o takich możliwościach.

Odwiedzając „Kamenę" jeszcze jako współpracownik, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, najczęściej zastawałem w redakcji tylko redaktora naczelnego, Marię Bechczyc-Rudnicką, wykonującą zresztą gros prac redakcyjnych oraz Annę Jakubiszyn-Tatarkiewicz, parającą się wtedy głównie recenzją teatralną. Już wówczas zaczęła się ugruntowywać jej pozycja doskonałej tłumaczki literatury francuskiej; współpracowała z PIW-em i dotąd (po przeniesieniu się do Warszawy na początku lat sześćdziesiątych), nadal jest związana z tym wydawnictwem. Redakcja techniczna składała się ze Stefana Zarębskiego, tłumacza Goethego i Heinego, oraz — jak twierdzono — pogromcy niewieścich serc. W najmniej przewidywanych momentach, a najrzadziej o umówionej porze pojawiał się Jerzy Ludwiński redagujący kamenową wkładkę plastyczną „Struktury". Pani Olga Gajewska tkwiła od zawsze, niezmiennie i niewzruszenie w sekretariacie. Kiedy Olga przeszła przed kilkoma laty na wcześniejszą emeryturę, zabrakło mi jakiejś ciągłości, jakiegoś stałego punktu oparcia w „Kamenie". A może po prostu owej przyjacielskiej więzi, jaka się między nami w ciągu długich lat wspólnej pracy zadzierzgnęła?

Kazimierz Andrzej Jaworski bywał w „Kamenie" stosunkowo rzadko. Częściej widywałem go w domu na Bronowickiej zanosząc jakieś listy przychodzące na jego nazwisko do redakcji, albo odbierając prowadzone systematycznie przez pisarza przez wiele lat „Noty". Dwa zaciszne, położone w amfiladzie pokoje KAJ-a zawalone były pod sufit książkami. W pierwszym stało staroświeckie biurko, jeszcze jego ojca; przy tym biurku KAJ napisał chyba większość swoich wierszy. Chodził lekko przygarbiony; zapamiętałem wyraźnie srebrzysto-siwą czuprynę z równym przedziałkiem, ciemny garnitur oraz nieodłączną cygarniczkę. Przede wszystkim zaś zapamiętałem życzliwość, z jaką KAJ odnosił się do młodych adeptów literatury. Nie wiem, czy łatwo się było z KAJ-em zaprzyjaźnić; w każdym razie nie trudno było zyskać jego sympatię. W „Kamenie" pojawiały się wtedy raczej drobne formy podpisywane: „k.a.j.", „Caius" lub „X. Rovay" (odwrotność nazwiska Jaworski). Po objęciu redakcji przez syna, Marka Adama Jaworskiego w 1965 r. KAJ ożywił swoje stosunki z pismem. Grały w tym zapewne niepoślednią rolę uczucia rodzinne.

Warto wspomnieć o pewnej mało znanej namiętności założyciela „Kameny": otóż KAJ uwielbiał książki kryminalne. Chyba już od wczesnej młodości, bo w jego bibliotece tkwiło sporo wydawanych jeszcze przed I wojną światową „kryminałów" w języku rosyjskim. Bardzo lubił Georgesa Simenona i kiedy w lubelskim MPiK-u pojawiło się dwudziestoparotomowe francuskie wydanie przygód komisarza Maigret, założyliśmy z KAJ-em i Marią Bechczyc-Rudnicką coś w rodzaju „spółki": każdy z udziałowców kupił po siedem czy osiem tomów z serii, a potem wymienialiśmy je między sobą. Gdy dzisiaj spoglądam na półkę mojej biblioteki i tytuły: „Les vacances de Maigret", „Maigret se defend", „Un échec de Maigret" czy „Maigret et le fantôme", wyłaniają mi się z pamięci niespieszne rozmowy z KAJ-em o prostocie prozy Simenona, o jej walorach literackich i umiejętności kreślenia kilkoma pociągnięciami pióra nastroju i klimatu paryskich ulic lub prowincjonalnych miasteczek.

Jak się rzekło: integrowaliśmy się najlepiej przy długim stole redakcyjnym. „Biesiady" przy nim odbywane miały przecież na co dzień charakter intelek-

Długi stół na Granicznej

Mirosław Derecki

zie, z braku innych, wakujący etat redaktora technicznego z obietnicą przejścia na publicystyczny. Wymagano więc ode mnie pisania reportaży i uprawiania publicystyki kulturalnej. Do moich obowiązków należało też sekretarzowanie na kolegiach, a następnie sporządzanie wyczerpujących protokołów w kilku egzemplarzach... „Pan Mirek jest najmłodszy pan będzie protokołował!" — oznajmiała zawsze pani Maria. Niestety! Od szkoły podstawowej przez gimnazjum. Służbę Polsce i studia ciągle prześladował mnie status „najmłodszego", który wobec tego... A tutaj w dodatku, pozostali koledzy redakcyjni przewyższali mnie grubo (oprócz starszego o rok Olka Gabrusiewicza) i wiekiem i pozycją zawodową i twórczymi dokonaniami. (W nieco późniejszych latach Jurek Dostatni często i tęsknie wspominał czasy, kiedy to młodzi dziennikarze zwyczajowo s k a k a l i po papierosy dla d o j r z a ł y c h kolegów! (Notabene owe w s p o m i n k i spływały po nas, licznych już wówczas młodych pracownikach redakcji — jak woda po gęsi).

W 1963 r. byłem „jeden przeciw wszystkim" — Gabrusiewicz wracał do Białegostoku i ślad po nim zazwyczaj ginął na długie tygodnie — i musiałem czekać całe trzy lata zanim przyszedł „młodszy", Irek Kamiński a jeszcze później — Maciek Podgórski. Tempora mutantur... teraz ja jestem najstarszym (redakcyjnym stażem) pracownikiem „Kameny". Powyższe przysłowie natomiast o tyle nie sprawdza się wobec Maćka Podgórskiego, że jest on wciąż „najmłodszy"...

Wracajmy jednak do stołu. U jego szczytu zasiadał Prezes. Bielski był wtedy prezesem Oddziału ZLP i to centralne miejsce przy stole należało mu się niejako z urzędu, jako gospodarzowi lokalu i „wydawcy" pisma. Wtłoczywszy swą masywną postać w fotel, za którym nikt się już nie mógł przeciskać, miał tutaj spokój oraz odpowiednie pole widzenia. W czasie obrad dobiegała z jego strony cała gama mruknięć, posapywań i wielorybich westchnień, którymi „Kondzio" wyrażał swój stosunek do zdania poszczególnych dyskutantów. Czasami wdarł się w tok dyskusji tubalny głos: Bielski w dosadny, krwisty sposób wykładał swą opinię. Doskonały niegdyś adwokat-karnik, który m. in. w czasach powojennych zabłysnął w procesie Orszy — opisanym następnie przez siebie w książce „Tajemnica kawiarni U aktorów" — Prezes więcej się teraz poświęcał literaturze. Poeta, współzałożyciel lubelskiego „Lucifera" i „Reflektora", jeden z głównych przedstawicieli przed- i powojennego lubelskiego środowiska artystycznego, erudyta o kolosalnej pamięci, intelektualista, a przy tym smakosz i bibosz — teraz pisał wspomnienia. „Most nad czasem" przywoływał obraz Lublina z lat dwudziestolecia międzywojennego, „Spotkania z Kazimierzem" były rodzajem sentymentalnego reportażu z miasteczka, które kochał od młodości. Sentyment mieszał się z humorem: poetę wyprzedzał na chwilę facecjonista, aby z kolei ustąpić realiście.

Latem widywało się „Kondzia" sunącego razem z żoną Utą przez kazimierski rynek. Mieszkiwał stale i niezmiennie w willi „Floryda", do czasu życia jej właścicielki, słynącej — nawiasem mówiąc — z doskonałej kuchni. Tylko Lew Kaltenbergh potrafi czasem oddać klimat wspaniałych gawęd kazimierskich „Kondzia" snutych w kawiarni w Rynku, lub w restauracji Michalskiego. Tej szczególnie gawędy, która wyjaśniała dlaczego król Kazimierz Wielki nie mógł mieć dzieci z Esterką... Trzeba było przy tym widzieć, jak „Bielski" ucztował w czasie tych maratonów słowno-gastronomicznych, jak stukał szpikową kością w talerz, żeby dobrać się do ulubionego specjału, jak podnosił do ust „setkę" czystej wyborowej! Miał w sobie wiele z legendarnego Franza Fiszera, ale był to Fiszer o wiele bardziej łagodny, przychylny światu i życzliwy ludziom. Ciężko chory na serce, sięgający często po nitroglicerynę, do końca życia zachował swój iście rabelaisowski humor i dowcip.

Pamiętam jedno z kolegiów redakcyjnych, kiedy Jerzy Pleśniarowicz, przyjechawszy z Rzeszowa „z pustymi rękami", to znaczy nie mogąc się wykazać interesującymi materiałami dla redakcji, roztacza przed zebranymi z właściwą mu elokwencją uroki prozy rzeszowskiego pisarza Romana Turka, „którego fragment książki udało mu się zdobyć".. A „Kondzio", przejrzawszy grę, słucha z uwagą, kiwa głową, a potem mruga do nas w swój charakterystyczny sposób, przechyla się konspiracyjnie przez stół i nabrzmiewającym chichotem tubalnym szeptem rzuca znane powiedzonko: „Turek Turka w d... szturka!"

Skonfundowany Pleśniarowicz przerwał na chwilę, zapomniawszy języka w gębie (rzadko mu się to zdarzało, podobno nawet Francuzów w Paryżu, gdzie bawił na wielomiesięcznym reżyserskim stypendium teatralnym, zagadywał na śmierć) a my dusiliśmy się ze śmiechu. Dostojną powagę zachował tylko Waldemar Babinicz, autor licznych książek o tematyce społeczno-obyczajowej, dyrektor znanego Uniwersytetu Ludowego w dawnej ziemiańskiej posiadłości Rożnicy na Kielecczyźnie. Nazywaliśmy go z tego powodu — poza oczami — orcynatem rożnickim. Gdyby to słyszał, pewnie by się obraził za „porównywanie" z głośnym bohaterem książki Heleny Mniszek. Przez Babinicza „Kamena" miała kontakty z całą plejadą publicystów warszawskich, m. in. Jerzym Gembickim, który pisywał u nas stały felieton, no a przede wszystkim ze środowiskiem twórczym młodzieży kieleckiej, której Babinicz chętnie patronował.

Zebranie zagajała zawsze Maria Bechczyc-Rudnicka jako redaktor naczelny i zwykle też w jej tok wypowiedzi wpadał z zapalczywą swadą Wacław Gralewski. Stanowili z panią Marią jakby dwa bieguny magnesu, jakże odmienne w każdym prawie względzie, a zarazem związane ze sobą na zawsze przyrodzoną im siłą przyciągania się. Pani Maria — poświęcam jej w tym wspomnieniu mniej miejsca, bo pisałem już o niej oddzielny artykuł a poza tym wciąż kontynuuje ona swoją działalność pisarską na łamach o b e c n e j „Kameny" — otóż pani Maria jest raczej racjonalistką obdarzoną wielkim poczuciem — bardzo swoistego zresztą — humoru, natomiast „Wacio" Gralewski reprezentował humor zupełnie inny, „demoniczny". Jak zresztą i cała jego natura podatna była na wszelkiego rodzaju „demoniczności" i „sensacyjności". Może się już taki urodził, a może dwudziestoletnia prawie praca naczelnego redaktora międzywojennego „Ekspressu Lubelskiego i Wołyńskiego", kiedy byt gazety zależał od jej sensacyjności, wyrobiła w nim ciągłą potrzebę widzenia rzeczy w ich niezwykłym, powiększonym, tajemniczym wymiarze? Jak Bielski, przyjaciel z lat młodości, tak również Gralewski był wspaniałym gawędziarzem, znał się doskonale na kuchni i na winach. Było w nim jednak mnóstwo przeciwieństw: znany przed wojną lubelski sportsmen, tenisista, zgłębiał zarazem tajemnice spirytyzmu i okultyzmu. Oddając się owym tajemnym naukom był zarazem człowiekiem pełnym inicjatyw. To on przyczynił się do założenia „Reflektora", do powstania w Lublinie Związku Literatów Polskich, on — o czym dowiedziałem się ostatnio — składał w latach trzydziestych ofertę na prowadzenie lubelskiego teatru.

Wszystkie książki „Wacia" miały mocne, zdecydowane tytuły, w których „dźwięczała czynów stal": „Pięść Herostratesa", „Ogniste koła", Gorejące ślady", „Stalowa tęcza" (wspomnienia o Józefie Czechowiczu, z którym Gralewski i Bielski przyjaźnili się), wreszcie — „Bieg po krawędzi". Do tej ostatniej książki zawierającej zbeletryzowane i we właściwy Gralewskiemu sposób „przetworzone" wspomnienia z lat okupacji sięgam najczęściej i najchętniej. Jawi się w nich okupacyjny Lublin jako jakiś niesamowity, nierealny, surrealistyczny twór, miejsce zagubione w przepastnych odmętach wojny, ciemne, puste i tajemnicze, w którym żarzy się jednak ogień walki o wolność i honor. Choćby nieraz owa walka, owe zachowania się opisywanych ludzi, przybierały nie wiem jak naiwne czy absurdalne formy... Bohaterowie książki przemykają często przed godziną policyjną wąskimi, ciemnymi ulicami śródmieścia, które pokrył biały całun świeżego śniegu, skażony jedynie samotnym śladem zabłąkanych dorożkarskich sanek... Przy jednej z takich ulic, na drugim piętrze kamienicy „na Kościuszki" Gralewski zajmował od lat garsonierę. Jeden pokój z wejściem prosto z klatki schodowej, zawalony pod sufit książkami, o ścianach niemalowanych od świętej pamięci, z piramidami papierów i teczek na stole i podłodze. „Trochę tu u mnie nieporządku... Cóż, nora intelektualisty..." mawiał „Wacio" do nielicznych gości. Na zaproszenie do Gralewskiego trzeba było sobie specjalnie zasłużyć. Zaproszenie wiązało się z ugoszczeniem jakąś wymyślną potrawą przyrządzoną przez gospodarza, mistrza sztuki kulinarnej. Potrawy były wyszukane a już same nazwy stanowiły rozkosz dla ucha. Na przykład: „bażant nadziewany ptakiem konwencjonalnym". Czyli kaczką.

Na ulicy Gralewski prezentował się niepozornie. Niski, krępy, ubrany bez troski o elegancję, a z myślą o wygodzie: luźne spodnie, za duże o dwa numery półbuty, na głowie nieodłączna, popelinowa „dżokejka". Ale spod daszka patrzyły przenikliwe, „stalowe" oczy. Oczy hipnotyzera. Oczy człowieka, który się ani przeciwnościom życiowym, ani kulom nie kłania. Bo wszak ten nieco zabawny, dziwny osobnik był w czasie okupacji szefem Biura Informacji i Propagandy Komendy Okręgu AK w Lublinie, a potem szedł z II Armią jako wyróżniający się odwagą szef zwiadu pułku, brał udział w walce o Kołobrzeg, był kawalerem Krzyża Walecznych i srebrnego medalu Zasłużonym na Polu Chwały. Całą okupację spał z rewolwerem pod poduszką. „W razie próby aresztowania — sześć kul dla Niemców, a jeśli bym nie wyrąbał sobie drogi ku wolności — siódma kula dla mnie" — zwierzył się kiedyś. I wierzę, że bez chwili wahania pociągnąłby za spust.

Atrakcją numer jeden redakcyjnych „plenów" była drożdżowa babka z cukierni Grygowej, a czasami nawet administracja stawiała butelkę słodkiego greckiego wina rodzynkowego „Samos". To — w chwilach wyjątkowo dobrego humoru Gralewskiego. Bywało jednak, że „Wacio", dostawał nagle węża w kieszeni. Robił się piekielnie oszczędny, wyliczał każdą złotówkę, roztaczał apokaliptyczne wizje upadku „Kameny" z powodu rozrzutności i marnotrawienia pieniędzy. Tak właśnie było w przypadku historii z „czerstwą babką".

Oto pewnego razu zdarzyło się, że przedstawiciele wojewódzcy nie mogli przybyć do Lublina i w ostatniej chwili odwołali telefonicznie swoje przyjazdy. Tak więc zamiast „plenarnego" miało się odbyć zwyczajne kolegium redakcyjne. Ponieważ kupiono już rano sakramentalną „babkę", wjechała ona w odpowiednim momencie na stół. Aliści, zanim nóż trzymany przez Marię Bechczyc-Rudnicką zanurzył się w jej pulchnym wnętrzu, rozległ się dramatyczny krzyk Gralewskiego: „Nie pozwalam! Pieniądze zostały wydane z przeznaczeniem na i n n ą okazję!" „Ależ, panie Wacławie" — argumentowała łagodnie pani Maria — „Toż „babka" już kupiona. I co z nią robić? Tylko zjeść ją można..:" „Nie można! — wołał Gralewski — Jest przeznaczona na inną okazję". „No, co z tą „babką" — denerwował się Bielski. — Będzie się ją krajać, będzie się ją jeść...?!"

I tutaj trzeba było widzieć Gralewskiego w akcji „stawiania na swoim"... Oświadczył, że w swych domowych zbiorach posiada zachowany przy pomocy specjalnej metody bochenek chleba z ...1939 r., „który zatrzymał dotąd absolutną, jakby wczorajszą, świeżość." Wspomniana metoda polega na umiejętnym owinięciu pieczywa w kilka warstw różnego rodzaju papieru oraz „czymś miękkim, ciepłym, a przewiewnym", na przykład swetrem z prawdziwej, stuprocentowej wełny. Czymże jest miesiąc dzielący nas od następnego „plenum" wobec okresu „od przed wojny"? Cóż było robić... Odbyło się uroczyste zawijanie w rytm zirytowanego posapywania „Kondzia" i ... przystąpiliśmy do obrad.

Następnego dnia „babka" została oczywiście zjedzona w czasie makietowania numeru przez członków redakcji technicznej, redaktora naczelnego oraz sekretarkę. Ale samego tylko grzechu i występku było nam za mało. Postanowiliśmy jeszcze odegrać się na szefie administracji... W dniu następnego „plenum" kupiliśmy za 20 złotych możliwie najbardziej świeżą „babkę" i zawinęliśmy ją tak, jak to uczynił Gralewski. Leżała w szafie na półce, jakby nie ruszona od miesiąca... W pewnym momencie zebrania pani Maria uderzyła się dłonią w czoło i — jak zostało ustalone — zauważyła „odkrywczo": „Ale, ale! Przecież my tutaj mamy „babkę", o której zupełnie zapomnieliśmy. A którą sam pan Wacław tak pieczołowicie z a k o n s e r w o w a ł przed miesiącem! Chociaż pewnie ona już sucha, całkiem sucha. Zobaczymy." Oczywiście, „świeżość" ciasta przeszła oczekiwania nawet samego Gralewskiego. Przeszła też nasze oczekiwania reakcja „Wacia", gdy została mu wyjawiona prawda. Nie stracił twarzy. Uparcie twierdził, że — choć żart jest istotnie dobry — on podtrzymuje swoją teorię. I że jeżelibyśmy teraz zawinęli tę pło „babkę", to za miesiąc...

Takie oto bywały w s t a r e j „Kamenie" rozmowy przy „długim stole redakcyjnym". Oczywiście te nieoficjalne, nierobocze. O poważnych, roboczych dyskusjach trzeba by było napisać osobny artykuł. Zresztą, można przejrzeć dawne numery „Kameny", które są tych rozmów i narad — widomym odbiciem. A jednak, nie można w pełni ocenić ówczesnych numerów bez znajomości atmosfery i swoistego kolorytu redakcji w s t a r e j „Kamenie".

W 1965 r. redakcję objął Marek Adam Jaworski i wtedy zaczęło się tworzyć już zupełnie inne, zupełnie nowe pismo. Ale to już także zupełnie inna historia...

W s t a r e j „Kamenie" zawód dziennikarski poznawało się i doskonaliło trochę jak w starym, solidnym i z tradycjami cechowymi warsztacie rzemieślniczym, korzystając z ciągłej, uważnej i życzliwej opieki pryncypała. Który może na komputerach i informatyce się nie znał, ale informacje o życiu i świecie czerpał z wieloletnich uważnych obserwacji i przemyśleń, z humanistycznego podejścia do świata i do ludzi. Zazdroszcząc więc często młodszym kolegom po piórze ich możliwości zdobywania wiedzy i doświadczeń zawodowych w redakcjach przypominających nowoczesne fabryki pracujące systemem taśmowym, wyposażonych w nowoczesne urządzenia i działających w oparciu o naukowe podstawy wiedzy o dziennikarstwie — nie żałuję lat terminu u starych mistrzów.

30 LAT ZESPOŁU PIEŚNI I TAŃCA ZIEMI LUBELSKIEJ

Z TRAWNIK DO TOKIO

Arkadiusz Kossowski

DWIE i pół godziny przed odlotem do Tokio pojawili się na lotnisku Orly pod Paryżem, ubrani w stroje łowickie i góralskie — bo Henri Coursage, prezes światowej federacji organizacji festiwali folklorystycznych zażądał, aby wszystkie zespoły udające się do Japonii przywdziały kostiumy regionalne. Ubezpieczenie każdego z nich na sumę 100 tysięcy dolarów przyjęli z satysfakcją, lekko przecież zmąconą niepokojem. Alicja Pieńkoś spojrzała na sprawę realistycznie i wysłała do męża w Polsce, zresztą lotnika, kartkę o takiej obiecującej treści: „Nie martw się, gdy nie wrócę do domu, dostaniesz odszkodowanie w wysokości 100 000 dolarów."

Wielki „jumbo-jet" okazał się na szczęście wehikułem budzącym zaufanie, podobnie, jak niewielkie, lecz nieustannie uśmiechnięte stewardessy japońskie, przyodziane w barwne kimona, ostro kontrastujące z czarnymi smokingami ich kolegów. W środku samolotu było jeszcze bezpieczniej. Skrupulatnie odnotowali, że 400 pasażerów może oglądać filmy, wyświetlane na ekranach poszczególnych kabin, albo udzielać się towarzysko w sali klubowej, nie mówiąc o barze. Z radością dzieci zabrali się do lunchu, próbując posługiwać się pałeczkami — instruowani przez stewardessy. W plastikowych pudełeczkach było „wszystko": sałata, mięso z frytkami, legumina, chleb, masło, owoce. Smakowało. Ale na obiad otrzymali „dziwne mięso" z zimnym i grubym „jak białe glisty" makaronem oraz czarny sos w filiżance, nie wiadomo, do czego.

Na krótko lądowali w Amsterdamie, a potem jednym skokiem „jumbo" osiągnął Anchorage na Alasce Alaska — pierwszy i może ostatni raz w życiu, więc ruszyli do kiosków z pamiątkami. Ktoś zapragnął kupić reniferowe papcie, ale kosztowały 19 dolarów... Skończyło się na kartkach pocztowych.

Zaliczyli przecież coś wartego wspomnień. Kilkunastoletnia wówczas Małgorzata Kaniorówna zanotowała: „Przelecieliśmy nad biegunem! Otrzymałam wspaniały dyplom przekroczenia Bieguna Północnego. Koleżanki w klasie poszaleją z zazdrości. Każdy z nas zbiera na tym ważnym dokumencie autografy całej załogi samolotu. Nawet nie zauważyliśmy, jak samolot zniżył lot i wylądował na Alasce A więc Ameryka też zaliczona. Takich wspaniałych wakacji nie mieliśmy jeszcze w życiu i chyba już mieć nie będziemy. NRD, NRF, Francja, Monaco, Holandia, Ameryka, a teraz będzie Tokio. Zdaje się nam, że to wszystko sen!"

A to był tylko snu początek. Co ciekawsze jego sekwencje powstały bowiem w Japonii, gdzie zespół polski wielokrotnie występował podczas imprez I Międzynarodowego Festiwalu Folkloru, robiąc takie wrażenie, że nawet sam następca tronu, Takahito Makasa, zechciał łaskawie przyjąć w loży Wandę Kaniorową, aby „pięknym francuskim literackim językiem podziękować jej za wspaniałą choreografię — za wdzięk i subtelność dziewcząt i za piękną, szlachetną postawę Polaków".

Przejechali Japonię wzdłuż — bo „o wszerz" nie ma co mówić — występowali w kilku miastach, mieszkali w ekskluzywnych hotelach, podejmowani byli herbatą przez Eiji Yamasaki, milionera z branży chemicznej i mecenasa folkloru, który szczególnie upodobał sobie nasz ensemble i jego szefową. Pocili się na deskach, czasami zatańczyli bardziej prywatnie, jeździli superszybkim pociągiem, wyciągającym 240 na godzinę, zachłystywali się japońską nowoczesnością elektroniczną, fotografowali tradycję. Fotografowali wszędzie i stale, bo zdjęcie to nie tylko pamiątka, ale i dokument, którego nie zastąpi żadne słowo. Ich także uwieczniano na taśmie, najczęściej — podczas uroczystego przyjęcia kończącego festiwal, na którym zdarzyła się zresztą rzecz ponoć bez precedensu: następca tronu wyraził ochotę na zatańczenie poloneza! Stało się zadość życzeniu Jego Wysokości, który może i podochocił się saką, spijaną z drewnianych sześciennych pudełeczek, o brzegach posypanych — dla smaku — solą.

„Prowadziła Wanda Kaniorowa z następcą tronu, za nią szła Ala Pieńkoś z panem Yamasaki, potem Dorota Janiuk z panem Coursage, a potem inni. Tańczyli Japończycy, Bułgarzy, Hiszpanie. I płynęła polska melodia przez sale „Imperialu", wypływała przez otwarte okna na ulice Tokio, czarowała, ujarzmiała słuchczy — mówiła o dalekim kraju polskim, którego kultura narodowa jest tak wspaniała" — zapisano w kronice Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej.

Do Lublina wrócili na początku września 1972 roku — jako ludzie absolutnie już ś w i a t o w i, co to i krewetki i homary, minikomputery (rzadkość wtedy u nas), i elity przemysłowe oraz polityczne, superexpressy i kolosy stratosferyczne „zaliczyli". Występowali co prawda wcześniej we Francji, Związku Radzieckim, NRD, Szwajcarii, Belgii, Luksemburgu, we Włoszech i Czechosłowacji, ale dopiero Japonia błysnęła im w oczy odległą egzotyką, tak atrakcyjną dla człowieka z innej półkuli.

Niedługo po powrocie spod opieki pana Yamasaki zespół dał koncert „ludziom dobrej roboty" w Kraśniku oraz załodze Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych. A co ma Kraśnik do Tokio, przewodniczący rady zakładowej do następcy tronu — to my mniej więcej wiemy. Ale wiemy też, że te dwa występy w skromnych salkach domów kultury, przed wcale nie elitarną publicznością, stały na wcale dobrym poziomie, że nie było to odwalanie roboty obowiązkowej, wynikającej ze społeczno-terytorialnych konieczności. Owszem, po powrocie z Japonii zarysowała się wewnątrz zespołu schizma, ale dość szybko udało się ją zneutralizować. Jaką drogą? Otóż to: przez odwołanie się do tradycji i poczucia więzi rodzinnej, spajającej od początku ten ciekawy organizm artystyczny, o biografii chyba bezprecedensowej, choć zarazem kształtowanej przez ogólniejsze i typowe okoliczności ewolucji społeczno-politycznej kraju.

O Zespole Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej można krótko powiedzieć, że jest dzieckiem tego czasu, który zaczął swój bieg w drugiej połowie lat czterdziestych, kiedy to „traktory zdobywały wiosnę", a „lud wchodził do śródmieścia". W miarę dorastania dziecię zmieniało się, naturalnie, ulegało różnym fascynacjom, redagowanym przez aktualną rzeczywistość, lecz na dobrą sprawę nie zapomniało chyba nigdy o pierwszej edukacji w szkole l u d o w e j, kształcącej dla pożytku powszechnego, dla celów wysokich — w ramach mocnej, rzecz można: rewolucyjnej dyscypliny, która zresztą z biegiem lat zaczęła jakby ciążyć temu i owemu z zespołu, wychowanemu już w warunkach nieco rozmiękczonych.

A zaczęło się to wszystko bardzo zwyczajnie, rychło stając się przecież poważnym problemem kulturalnym, a może nawet ideologicznym. Oto pewnego sierpniowego dnia 1948 roku Wanda Kaniorowa, kierowniczka Poradni Świetlicowej miasta Lublina, wybrała się do Trawnik, gdzie na koloniach przebywał jej syn, Andrzej. Spełniając prośbę opiekuna dzieci, Józefa Sobczyka po kilku z nimi próbach zmontowała widowisko pt. „Budujemy Nowy Dom", które tak przypadło do gustu okolicznej ludności, że zdecydowano się wysłać „artystów" w teren: do Rejowca, Puław i Kazimierza. Tańczyli, śpiewali, recytowali wiersze także na statku żeglugi wiślanej.

Po powrocie do Lublina Kaniorowa zajęła się zespolikiem tanecznym, który organizowano przy Urzędzie Wojewódzkim, wykorzystując dobre chęci dzieci pracowników tej instytucji oraz tzw. klimat epoki, który wyraźnie preferował ambicje amatorów sceny. Z tej grupy i „trawniczan" ostatecznie powstał Teatr Młodego Widza. Nie dysponował on co prawda własną salą, strojami i pieniędzmi, ale posiadał przecież Wandę Kaniorową, dla której takie warunki działania były czymś naturalnym, znajomym. Kiedy w listopadzie 1932 roku podjęła pracę w małej szkole wsi Sucharewice na Polesiu, pierwsze próby nieskomplikowanych układów tanecznych prowadziła z uczniami na klepisku kurnej chaty, które w dni ciepłe kurzyło straszliwie, w deszczowe zamieniając się w błocko. I jakoś poszło.

„Po roku pracy na Polesiu — przypomniała po latach w wywiadzie prasowym — pewnego majowego popołudnia zastukały do moich drzwi dzieci ze wsi. Przyszły, mówią, aby mnie zabrać ze sobą. Poszłam. Prowadziły mnie nad rzekę, a cała dróżka posypana była kwiatami. Na rzece — łódź wymoszczona „radiuszkami" — samodziałowymi, kolorowymi płachtami. Nad ławeczką — baldachim z gałęzi. Siadłam w tej „gondoli", dzieci za wiosła, a raczej kije. Dzieci było dużo, ale łódź też była duża, więc się wszyscy zmieścili. Dzieciarnia muzykalna, zaczęła śpiewać swoje poleskie tęskne pieśni na dwa głosy. Wszystko to razem było naprawdę piękne, wzruszające, szczere i spontaniczne. Pomyślałam sobie: oto mój wielki dzień, chyba nic już piękniejszego nie przeżyję. Właściwie, można by już umrzeć."

Praca wśród ludu na zapadłej prowincji, sentyment dla pieśni gminnej, niepowtarzalna i świetna kinderstuba nauczycielska lat międzywojennych — oto z jakim oporządzeniem zawodowym i moralnym przystępowała Kaniorowa do formowania teatrzyku dzieciarni, nie otrzymując za to grosza.

Święty Judym i błogosławiona Joasia — wyeksmitowani już jakby z hagiografii współczesności — czuwali przecież nieustannie nad „swoją" Wandą, która sprzymierzywszy się z władzą ludową zaczęła pchać dzieło do przodu, czyli — po próbach — na akademie ku czci oraz z okazji, prezentując je także w szpitalach, szkołach, fabrykach, we wsiach — uświetniając walkę z analfabetyzmem i elektryfikację kraju. Nam się dziś w głowie nie mieści, jakim zainteresowaniem cieszyły się wówczas nawet takie, amatorsko-dziecięce, występy. W 1948 roku zespół prezentował się 26 razy, a ćwiczył trzykrotnie w ciągu tygodnia, przyobleczon w szaty różne, wykonane własnym sposobem m.in. z granatowego struksu, podarowanego przez Ligę Kobiet.

W następnym roku stała się rzecz niespodziewana: zespół młodocianych awansował do rangi poważnego ensemble'u, przeznaczonego do dokonania rewolucji w dziedzinie teatru! Zaczęło się niewinnie, od adaptowania na scenę przez Kaniorową jednej z bajek Andersena, angażując do roboty przy „Irence" całkiem dojrzałych ludzi, jako to: Aleksandra Bryka, który opracował muzykę, Marię Nowakowską i Irenę Szczepkowską (projekty kostiumów i rekwizytów) i Jerzego Torończyka. Późniejszy wieloletni dyrektor Teatru im. Osterwy pięknie naszkicował dekoracje do spektaklu. Na tym nie skończyły się rewerencje: premierowe przedstawienie odbyło się 20 lutego w sali Teatru Muzycznego, wspierane przez 18 członków dorosłej orkiestry symfonicznej.

No i posypały się pochlebne recenzje prasowe, w których wskazywano m.in., że tytułową rolę kreuje 11-letnia uczennica V klasy szkoły TPD nr 1, Zofia Wakulczuk, córka chłopa z powiatu włodawskiego, który w Hołownie zorganizował pierwszą na Lubelszczyźnie spółdzielnię produkcyjną, a potem w dowód uznania, przeniesiony został do Lublina, gdzie objął jedno z kierowniczych stanowisk w Urzędzie Wojewódzkim. Ale o rodzinnych stronach nie zapomniał, rokrocznie jeździ na wieś — razem z Zoją, która gromadzi dzieci miejscowe i plewi z nimi buraki, prezentując następnie, o zachodzie, różne sztuczki sceniczne.

W tym czasie w zespole wyróżniały się ponadto: Marysia Kowalska, Irena Pitucha i Lodzia Klawisz, a wśród chłopców: Andrzej Kanior, Jurek Głowacki, Wiesio Sołtys oraz Igo Wachowiak, uznany nie tylko za pracowitego, ale też za zdolnego.

„Irenka" i inne poczynania zrobiły swoje, jesienią TMW otrzymał pierwszą dotację — 50 tysięcy złotych (tych sprzed reformy) od Zarządu Okręgu Związków Zawodowych, co umożliwiło wystawienie „Timura i jego drużyny" A. Gajdara, rzeczy spopularyzowanej u nas ekranizacją tej sympatycznej, bezpretensjonalnej powieści dla młodzieży. Teatrzyk prezentował ją 14 razy przed widownią liczącą w sumie trzy tysiące osób.

Dotychczasowe dokonania zespołu podsumował dziennikarz „Sztandaru Ludu", którego tekst jest niezłym przykładem ówczesnej optyki recenzenckiej i artykulacją wielkich nadziei, jakie wiązano z dziecięcą sceną:

„Przez cały okres międzywojenny teatry dla dzieci żyły ckliwosentymentalnymi historiami, ubieranymi z reguły w barwną i bogatą szatę dekoracyjną. Jakkolwiek mieściły się one całkowicie w ramach ówczesnego programu wychowawczego, były przecież szkodliwe, ucząc młodego widza podziwu dla królewskiego dworu, każąc mu zazdrościć bogactwa, narzucając wiarę w nieprawdopodobną historię „kariery" ubogiej dziewczynki itp.

Lubelski Teatr Młodego Widza wskazuje, że na naszym terenie te szkodliwe pozostałości zostały radykalnie usunięte".

Dowodem, według autora, miał być właśnie „Timur" w reżyserii Kaniorowej. Ten teatr, kontynuował dziennikarz, może „stać się trzecią stałą sceną w Lublinie". Dać mu salę i pieniądze!

Obrazkami słowno-muzycznymi dzieci witały wojsko wracające z ćwiczeń, radowały kołchoźników radzieckich goszczących w Lublinie, milicję, pracowników fabryki gwoździ, uczestników dożynek centralnych. Tworzyły zespół rzeczywiście ludowy, łatwo nawiązujący kontakt z ludową widownią treścią swoich dydaktycznych czy agitacyjnych przedstawień, które eksponując bardziej wyobrażenie o życiu przyszłym, niż skomplikowaną teraźniejszość, w jakimś stopniu kształtowały myślenie o s p r a w i e. W nagrodę zespół otrzymał dwutygodniowe wczasy w Międzyzdrojach, dokąd wybrał się z pierwszym „własnym" akordeonistą Czesławem Chyżyńskim. No i zamiast odpoczywać, dał 12 koncertów, m.in. dla robotników czeskich i wę-

gierskich, zakwaterowanych w domu wczasowym „Slavia". Ci ostatni obiecali opowiedzieć w kraju ojczystym, jak to świetnie pracuje „sławna Bierutowa młodzież". A „znany w całej Polsce górnik Markiewka zapewniał wtedy: — Stałbym tutaj nawet całą noc i słuchał waszych pieśni, choć nogi mam strudzone.

Ale pieniędzy ciągle brakowało. Dopiero zdobycie II miejsca na centralnych eliminacjach zespołów pieśni i tańca radykalnie polepszyło sytuację Teatru Młodego Widza. Przemianowany na reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej w składzie 100 osób, otrzymuje 100 tysięcy nowych złotych subwencji, co starcza na pierwsze w dziejach ensemble'u kostiumy wełniane i buty z prawdziwej skóry — wcześniej występowali w tekturowych. Wanda Kaniorowa obejmuje etat kierownika artystycznego, rezygnując z pracy w administracji kulturalnej, kierownikiem muzycznym zostaje Aleksander Bryk, chór zaczyna prowadzić Wiktor Waśkowski. Wygospodarowano też pół etatu dla kierownika politycznego, czyli Mariana Elerta. Było to w 1953 roku.

Zespół tyra pod twardą, lecz szanowaną ręką Wandy Kaniorowej, powoli zyskując rozgłos w kraju. W 1956 roku występuje w ZSRR, dwa lata później — przed kamerami naszej telewizji, przygotowującej program na 22 Lipca. Z analfabetyzmem w zasadzie skończono, z elektryfikacją prawie też, czas stawia inne wymagania, otwiera furtkę w świat, choć realizatorzy jego dyspozycji nie bardzo jeszcze wiedzą, w jakim kierunku i jak szeroko można ją uchylić. Więc kiedy zespół otrzymuje zaproszenie na XVI Międzynarodowy Konkurs Tańca Folklorystycznego w Agrigento na Sycylii, utrudniają to i owo, co doprowadza do łez Kaniorową. Płacze w ministerstwie i słyszy: „Ale spójrzcie przez okno! Tyle ludzi chodzi po ulicach Warszawy, a nikt z nich nie rozpacza, że nie wyjeżdża na Sycylię!" A ona płacze dalej, mówiąc przecież rzeczowo: „Ale im nikt nie robił tej nadziei. Oni nie ćwiczyli po nocach, bez obiadu i kolacji." No i pojechali, z regulaminową pochodnią w bagażu, którą rozpalili na miejscu zdobywając zaraz potem, wspólnie z Węgrami, I miejsce w konkursie! Po raz drugi zaskoczyli Włochów w czasie przyjęcia u burmistrza, kiedy to towarzyszący zespołowi Stanisław Zgrzywa przemówił po łacinie.

W kronice odnotowano ponadto, że hotel „Gelia" w Agrigento był niesłychanie wytworny, kelnerzy usługiwali w białych rękawiczkach, podając na śniadania tylko po pół rogalika i malutką białą kawę. Wspomniano też o balu z jakimiś milionerami, którzy próbowali podrywać co dorodniejsze tancerki i pieśniarki, spotykając się jednak z odprawą proporcjonalną do ludowych tradycji zespołu.

— „Mama ma idée fixe na punkcie wychowania", zauważył Andrzej Kanior — jeszcze 16 lat później, w 1975 roku.

wielkie i eksportowe zespoły polskie poszły tym śladem. Kilka tańców w układzie Wandy Kaniorowej włączyło do swego repertuaru „Mazowsze". Autorka choreografii do „Suity lubelskiej" kilkakrotnie reżyserowała gigantyczne widowiska plenerowe z okazji dożynek centralnych. Dodajmy też, że wielu wychowanków zespołu trafiło do „Śląska", „Mazowsza" i wokalno-tanecznej reprezentacji Wojska Polskiego.

Na początku lat siedemdziesiątych świat jakby oszalał na punkcie folkloru. Zaczęły mnożyć się festiwale międzynarodowe, konkursy i przeglądy — jako naturalna reakcja na unifikującą presję kultury masowej, niszczącej to, co odrębne, indywidualne. Lublinianie jeździli do Francji, Włoch, do Japonii i na Wyspy Kanaryjskie — wszędzie przyjmowani gorąco i z reguły premiowani najwyższymi nagrodami.

„Zespół z dalekiej Polski — komentowała „La Prowincia" z Las Palmas w 1974 roku — przybliżył nam piękno i szlachetność tego dzielnego kraju poprzez swoje tańce i muzykę. Znakomite tempo, feeria barw kostiumów, technika i różnorodność melodii przypadły nam do serca".

Takich recenzji w archiwum zespołu jest wiele. Sporo miejsca poświęcono lublinianom w prasie francuskiej po ich sukcesie na międzynarodowym festiwalu folklorystycznym w Dijon (1978), skąd przywieźli medal „Złotego grona" oraz „złotą" beczułkę pełną wina, będącą główną nagrodą publiczności, która w liczbie 150 tysięcy najmocniej oklaskiwała nasz zespół. Oszołomiły Francuzów stroje ułańskie chłopaków i niesłychana kondycja par tanecznych, które w punktowanym pochodzie wywijały hołubce — na trasie długości 8 kilometrów! Bez sprawności fizycznej nie ma co marzyć w tej branży o sukcesach artystycznych, co oczywiście nie znaczy, że każdy osiłek może zostać artystą.

Maję Waliniak, będącą pod opieką wokalną Ireny Piechotowej, mianowano w Wielkiej Brytanii „nową Marleną Dietrich"...

Obecnie Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, pracujący w nowym i dość pojemnym budynku przy ul. I Armii Wojska Polskiego — zasługa ówczesnego wojewody Ryszarda Wójcika — liczy około 500 osób, skupionych w pięciu grupach. Reprezentacyjną kieruje Wanda Kaniorowa, szefowa całego stowarzyszenia, oraz Ignacy Wachowiak; młodzieżową „Lubelaków" — Janusz Litko (wcześniej Andrzej Kanior, dziś dyrektor Administracyjny Zespołu); „Lubliniaków" prowadziła do niedawna Małgorzata Kaniorówna, która w tym roku zginęła w wypadku samochodowym; „Dzieci Lublina" — Kazimierz Borowiecki i Czesław Chyżyński; „Wróbelki" — Ignacy Wachowiak. Kierownikiem muzycznym stowarzyszenia jest znakomity Henryk Kukawski, chór prowadzi, od 1953 roku, Wiktor Waśkowski. Akompaniatorem-korepetytorem w zespole jest od 1955 roku Teresa Cużytek...

Wanda Kaniorowa (w środku), Maja Waliniak (w kostiumie) i Ignacy Wachowiak

Po tym sukcesie Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej stanął mocno na rynku folklorystycznym. Coraz częściej występował za granicą: kilkakrotnie w Związku Radzieckim, we Włoszech, Czechosłowacji, Francji, NRD, Szwajcarii, Belgii, Luksemburgu, Tunezji... Był nadal ludowy, ale w innym sensie, niż na początku: poprzez charakter swoich tańców, dyscyplinę wewnętrzną i matriarchat — system władzy często spotykany w robotniczych rodzinach.

Zdobywając nagrody na festiwalach krajowych i międzynarodowych (początkowo: Włochy, Francja, Belgia, Tunezja), nie cierpiał ten nasz reprezentacyjny na nadmiar wartości materialnych. W „Szopce Noworocznej" 1968 Mirosława Knorr włożyła w usta Wandy Kaniorowej ironiczną przyśpiewkę, z której wynikało, że zespół ma siedmiu opiekunów, chwalących się nim w sprawozdaniach, „Lecz spróbuj się kogo /Doprosić złotówki/. Gdy już portki w strzępach, /A w drzazgach zelówki!/".

Faktycznym mecenasem zespołu był wówczas tylko Paweł Dąbek, przewodniczący Prezydium WRN.

Ciekawe w rysunku choreograficznym, niebanalne inscenizacyjnie tańce lublinian zyskiwały uznanie nie tylko w oczach publiczności, bijącej brawo przede wszystkim za dynamikę i barwę występów, lecz także w opinii rutynowanych profesjonałów. Kiedy w Lublinie uruchomiono chór, wprowadzając go między pary taneczne na scenę, inne

Nie trudno zauważyć, że stowarzyszenie prowadzą ludzie od lat związani z zespołem. I to jest chyba pierwszy warunek sukcesów lublinian na licznych festiwalach i przeglądach w kraju i za granicą. Drugi i równorzędny — jak twierdzi Wanda Kaniorowa — to dyscyplina, podporządkowanie indywidualnych ambicji celom całej zbiorowości, a więc postawa ukształtowana jeszcze w rewolucyjnym okresie lat czterdziestych. To formowanie instynktu społecznego odbywało się w czasach 60-osobowego Teatru Młodego Widza w sposób jakby rodzinny. Dziś: etatowy pedagog, Zbigniew Kusiak, troszczy się o sprawy wychowawcze metodycznie i planowo, współdziałając z samorządami poszczególnych grup taneczno-wokalnych i z klubem rodziców, działającym przy stowarzyszeniu. Ale można przypuszczać, że jak trwoga, to i tak biegnie do „Sorki", czyli Wandy Kaniorowej, albo do innych pionierów...

Stowarzyszenie „Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej" otrzymało: Złoty Krzyż Zasługi, odznaki „Zasłużony dla Województwa Lubelskiego" i „Zasłużony dla m. Lublina", pięć nagród ministra kultury i sztuki, wiele Nagród Wojewódzkich Lubelszczyzny, dwie doroczne nagrody „Trybuny Ludu" — 1974 i 1978 — „za kształtowanie i upowszechnianie wartości kultury socjalistycznej".

A zaczęło to się wszystko na kolonii w Trawnikach, od montażu „Budujemy Nowy Dom"...

Uczyć w tłoku?!

Maria Berczentewicz

SPORO już pisało się na temat osobowości nauczyciela i jej wpływu na wyniki w nauce i wychowaniu, postawiono i słusznie na obowiązek dyplomowania się studiami wyższymi w szkolnictwie (chociaż studia wyższe wcale nie przesądzają o wartości moralnej człowieka, ani o jego „zacięciu" do zawodu nauczycielskiego, bo potrzebne tu jest coś więcej, jak tylko dyplom wyższej uczelni, potrzebne przede wszystkim ukochanie małego człowieka, który zaczyna stawiać pierwsze kroki w społeczeństwie). Nie próbuje się jednak podjąć kwestii, jaki jest związek między liczbą uczniów w klasie, wynikami w nauce i oddziaływaniem wychowawczym dużej grupy uczniów na siebie.

Prasa biła na alarm, kiedy zbliżał się tzw. wyż demograficzny, ale wtedy w szkole było dobrze, gdyż klasy liczyły niewiele powyżej dwudziestu uczniów, ewentualnie tylko trochę przekraczały 30. A dalczego tak było? Bo obowiązywał słuszny przepis nakazujący dzielenie klas, jeżeli liczba dzieci przekroczyła 40, a w klasach młodszych 30 osób.

Dziś, kiedy stoimy w obliczu „niżu demograficznego", klasy pękają nam w szwach, nie ma klasy, w której byłoby 20 osób. Na ogół liczą sobie po blisko 40 uczniów.

Czyż naprawdę tak trudno przekonać kompetentne czynniki, że w takiej klasie wyniki nauczania będą ciągle się obniżać? Gdzie tu znaleźć czas na indywidualizację nauczania, w jaki sposób oddziaływać wychowawczo, kiedy podczas 45-minutowej lekcji nie ma nawet chwili na zamienienie jednego słowa z wychowankiem?

A oddziaływanie 40-osobowej grupy uczniów nawzajem na siebie? Czyżbyśmy sobie naprawdę nie zdawali sprawy z tego, jakie to jest ogromne obciążenie psychiczne? Mówi się o stresach i nerwicach uczniowskich, winą za nie obciążając w większości wypadków nauczycieli, ale nikt nie chce wziąć pod uwagę liczebności klas, moim skromnym zdaniem, największego nerwicotwórczego czynnika. Urzędnicy pracują w kilku lub kilkunastuosobowych pokojach, dzieci i młodzież w kilkudziesięcioosobowych klasach. Obie te grupy pracują i myślę, że uczniowie są bardziej obciążeni pracą od człowieka dorosłego.

Trudno się też dziwić, że w takich ogromnych klasach często wpływ decydujący mają uczniowie fizycznie silniejsi: oni dyktują słabszym warunki, oni nadają ton w życiu klasy. Oddziaływanie wychowawcze nauczyciela jest ogromnie utrudnione w klasach gigantach i naprawdę łatwo skrzywdzić niejedno dziecko, bo normalny człowiek nie jest w stanie „rozszyfrować" czy przenicować każdego ucznia z osobna. A jakie to ogromne obciążenie psychiczne dla nas, nauczycieli! Przecież trzeba zapanować nad taką 40-kilkuosobową grupą, bo dyscyplina i materiał programowy obowiązuje, a pracę ucznia trzeba ocenić.

Tylko świetny pedagog i psycholog jednocześnie potrafi prowadzić lekcje w takich klasach, nie narażając się na żadne konflikty z uczniami. Niedostatek wiedzy psychologiczno-pedagogicznej i brak takich umiejętności pogłębia nauczycielskie konflikty z uczniami, które rodzą coraz bardziej rozrastające się klasy.

Warto byłoby spojrzeć na nauczycieli, jak na normalnych ludzi: obdarzonych takimi samymi wadami, jak wszyscy rodzice. Ci narzekają, że nie mogą sobie poradzić z jednym czy trojgiem swoich pociech, ale od nauczycieli wymagają bezbłędnych diagnoz pedagogiczno-wychowawczych wobec kilkudziesięciu wychowanków, których widzą oni 2—3 godziny tygodniowo. Wydaje mi się, że czas najwyższy skończyć z klasami gigantami, jeżeli funkcją naszej współczesnej szkoły i szkoły przyszłości ma być jakość wiedzy i wychowania dzieci.

Pozwólmy szkole i naszym dzieciom pracować i rozwijać się normalnie, umożliwmy indywidualizację nauczania na lekcjach, bo jest ona niezbędnie w szkole potrzebna.

Popatrzmy na szkołę i pod tym kątem: porównajmy naszą sytuację z obowiązującą liczbą uczniów w klasie u naszych sąsiadów za miedzą i wyciągnijmy z tego poważne i przemyślane wnioski.

Zacznijmy reformę szkolnictwa od zmniejszenia liczebności uczniów w klasie! Bez tego nie ma mowy o prawidłowym wychowywaniu i odpowiednim poziomie wiedzy u dzieci.

OŚWIATA W KONSPIRACJI

Józef Kalinowski

TAJNE nauczanie w b. powiecie opolskim prowadzone było w dwu formach. Pierwsza to przemycanie w nauce jawnej, którą podjęły 52 szkoły (nie było jej tylko w Pusznie Godowskim) zakazanych wiadomości z historii i geografii Polski oraz literatury. Oczywiście, mogły to być tylko krótkie informacje, na marginesie np. piosenki (dopóki odbywała się nauka śpiewu), tekstu zadania rachunkowego, czasem tematu przyrodniczego, lub w rozmowie indywidualnej. W czasach jednak koszmaru i grozy okupacyjnej już nawet wyrazem twarzy, lub gestem, dobrze dzieciom znany i darzony autorytetem wychowawca mógł podtrzymywać na duchu, budzić wiarę w jasną przyszłość i zachęcać do nauki. Aczkolwiek moralne jej znaczenie było bardzo duże, to jednak w sytuacji, gdy nauka jawna właściwie była sprowadzona do nauki czytania, pisania i prostych rachunków, a w dodatku była bardzo często przerywana np. na skutek przeznaczenia lokali szkolnych na inne cele, zamiar okupanta — doprowadzenia do regresu oświaty i kultury polskiej — byłby osiągnięty.

Zapobiegał temu nauczyciel prowadząc drugą i główną formę tajnej oświaty w konspiracyjnych, kilku-osobowych kompletach, zbierających się w mieszkaniu nauczyciela, lub co raz to innych rodziców. Odbywała się ona, rzecz zrozumiała, z zachowaniem wszelkich ostrożności, bardzo często przy wystawieniu „czujek" złożonych z uczniów, a w niektórych miejscowościach, np. Niezabitowie, Godowie, Skokowie, także rodziców. Prowadzono ją jako tzw. nauczanie „niezorganizowane" i jako nauczanie „zorganizowane".

Zespoły pierwszego rodzaju powstawały samorzutnie, z inicjatywy nauczyciela, lub na prośbę rodziców i nie korzystały z pomocy podziemnych organów kierownictwa oświatowego, wśród których na tym terenie główną rolę odgrywał ZNP, występujący pod nazwą Tajnej Organizacji Nauczycielskiej oraz Departament Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj.

Nauczanie „zorganizowane" odbywało się najczęściej z inspiracji tych organów, korzystało z ich pomocy metodycznej, a niekiedy także materialnej i w miarę możliwości było objęte ewidencją, kontrolą i sprawozdawczością. Oczywiście, im dalej od stolicy tym trudniej było je prowadzić w związku z czym wyraźnie przeważało nauczanie „niezorganizowane".

Pierwsze zespoły powstały już pod koniec 1939 r. w Idalinie, Komaszycach, Opolu, Niezabitowie, ale działalność ta zatoczyła szersze kręgi dopiero z wiosną 1940 r. po zwolnieniu z pracy 17 nauczycielek-mężatek i gdy okazało się, że nadzieja na szybkie zakończenie wojny jest zwodnicza.

Z zachowanych przekazów wynika, że z czasem w rejonie opolskim w tajnych kompletach było zaangażowanych co najmniej 85 osób, z których 77 to nauczyciele, w tym 17-rzuceni tu zawieruchą wojny, a 8 — inne osoby, jak komendant „Daru Pomorza", wicestarosta z Łowicza, 3 studentów i 3 licealistów. Liczbę uczniów można szacować na ponad 500.

Zapewne jeszcze większy podziw musi wzbudzać fakt prowadzenia na tym terenie tajnego nauczania na poziomie gimnazjalnym. Nie tylko dlatego, że już w listopadzie 1939 r. zostały zamknięte wszystkie gimnazja i licea ogólnokształcące, ale i dlatego, że nawet przed wojną nie było tu żadnej szkoły średniej. Pierwszy tajny, 8-osobowy zespół gimnazjalny został utworzony w Piotrawinie przez nauczycieli Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Reytana w Warszawie — mgr. St. Ostrowskiego i mgr Masłowskiego.

Najszerszy zasięg tajne nauczanie przybrało w nadwiślańskiej, trudniej dostępnej części tego regionu na tzw. Powiślu. Główną rolę w tym odegrał St. Gierczak, kierownik szkoły z powiatu hrubieszowskiego.

Tajne komplety gimnazjalne powstały również w Józefowie, Łaziskach, Kluczkowicach, Kamieniu, Niesiołowicach, Opolu, Zgrodach. Oprócz nauczycieli miejscowych pracowali w nich: mgr H. Bednarska, mgr M. Łaszczowa, mgr W. Strzelecki — wysiedleni nauczyciele szkół średnich, mgr D. Zychowicz, mgr A. Zychowicz — nauczyciele Gmin. i Lic. Ogóln. w Solcu n. W., dr J. Rytel z Uniwersytetu Jagiellońskiego i kilka wspomnianych wyżej osób.

Egzaminy przeprowadzali wymienieni nauczyciele G. i L. Og. T. Reytana z dyrektorem tej szkoły mgr Wróblewskim i powiatowa komisja egzaminacyjna w Puławach. Około 20.6.1944 r. przeprowadziła ona w b. pałacu Lubomirskich w Niezdowie egzamin około 60 uczniów. Przewodniczącym komisji był dr Zinkiewicz, dyr. konspiracyjnego gimnazjum w Puławach, później dziekan wydziału biologii UMCS, a członkami mgr M. Boska, mgr M. Wolińska, ks. Adamczewski i autor tego artykułu.

O zasięgu nauczania na poziomie gimnazjalnym najwyraźniej świadczy fakt, że zorganizowane w październiku 1944 r. przez mgra Józefa Kalinowskiego Prywatne Gimnazjum Ogólnokształcące posiadało od początku wszystkie 4 klasy, w których I miała aż 4 oddziały liczące ogółem 198 uczniów, a kl. II, III i IV obejmowały 112 uczniów, z których wszyscy krócej lub dłużej korzystali z tajnej nauki. Można więc przyjąć, że tajne komplety gimnazjalne miały ich około 150, bo przecież niektórzy zaraz po wojnie wyjechali z tego rejonu.

Liczby te, a także fakt, że w Lesie Dębowym, wiosce ze szkółką o 1 nauczycielu mógł powstać 8-osobowy zespół gimnazjalny, dowodzi zadziwiającego rozbudzenia się aspiracji oświatowych młodzieży chłopskiej. Niewątpliwy to sukces nauczyciela w jego dramatycznej walce z okupantem.

Utrzymując praktycznie ciągłość szkolnictwa polskiego i to na wszystkich — nawet wyższym — szczeblach, nauczyciele przyczynili się do ocalenia wartości kultury polskiej tak zajadle eksterminowanej przez okupanta.

Wyrazem uznania dla nauczycieli, którzy brali w tajnym nauczaniu udział, jest przyznanie im uprawnień i przywilejów kombatanckich.

Obchody Dnia Nauczyciela stwarzają dobrą sposobność do przypomnienia zapisu na tej chlubnej karcie polskiego nauczycielstwa, co oprócz sensu historycznego posiada istotne znaczenie wychowawcze.

Utopia młodzieży amerykańskiej

Roman Tokarczyk

I

NA ogół wyróżnia się trzy fazy rozwoju amerykańskiej myśli utopijnej: 1) od początku amerykańskiej państwowości do narodzin E. Bellamy (1850—1898) uznawanego za najwybitniejszego tam jej przedstawiciela, 2) od śmierci Bellamy do lat sześćdziesiątych naszego stulecia, 3) od lat sześćdziesiątych datowany jest początek fazy trzeciej, w której jak dotychczas, idee Nowej Lewicy amerykańskiej są dla niej najbardziej charakterystyczne.

Faza trzecia odznacza się wyraźną odrębnością tak w zakresie podejmowanych tematów, jak i formą wyrazu. Głównymi jej tematami są zagadnienia ludzkiej autentyczności, wolności wspólnoty i równości społecznej. Utopia w zasadzie nie przybiera literackich środków wyrazu, lecz formę programów, zwartych haseł, rzadziej esejów o ambicjach naukowych. Najczęściej nie jest już dziełem określonego pojedynczego autora, lecz owocem zespolonych pomysłów ich grupy.

Faza pierwsza zapisała się przede wszystkim utopiami skierowanymi „ku górze", niebiańskimi, nieziemskimi. Dla fazy drugiej typowe były utopie usytuowane „na zewnątrz" istniejącego społeczeństwa, ale już na ziemi. Faza trzecia — utopie wywiedzione z krytycznej obserwacji „wnętrza" istniejącego społeczeństwa i uwarunkowane jego możliwościami.

Utopia niebiańska wymagała cierpliwości, utopia „z zewnątrz" — podróży, ale w obu przypadkach mamy do czynienia z wyjściem poza aktualne warunki bytu człowieka, duchowym bądź fizycznym. Przed utopią „od wewnątrz" stoi o wiele trudniejsze zadanie — wyprowadzenia dobrego, tego, co powinno być, ze złego, z tego, co rzeczywiście jest. Utopiści obracający się w kręgu utopii „od wewnątrz" muszą posiadać zrozumienie istniejącej rzeczywistości, wiedzę dotyczącą sposobów jej przekształcenia oraz koncepcję nowego społeczeństwa.

II

Z programów i dokonań ruchów młodzieżowych lat sześćdziesiątych oraz pism autorów zaliczanych do Nowej Lewicy amerykańskiej wyłania się zarys utopii społecznej o nowym obliczu. Wśród wielu pomysłów na temat miejsca, w którym jej autorzy chcieliby ulokować swoje nowe społeczeństwo, najwyraźniej zarysowana została koncepcja zburzenia ogromnych metropolii zamieszkałych przez miliony ludzi i zastąpienia ich małymi osadami usytuowanymi w starannie zachowanym otoczeniu naturalnym. Kardynalną zasadą rygorystycznie przestrzeganą przy ich tworzeniu byłaby funkcjonalność dla ludzi, a nie dla maszyn i rzeczy. Z miejscem zamieszkania sąsiadowałyby miejsca pracy, co ułatwiłoby uzyskiwanie większej ilości wolnego czasu i przezwyciężanie dotychczasowego rozdarcia pomiędzy aurą emocjonalną miejsca zamieszkania a odmienną atmosferą miejsca pracy.

Wspólne warunki zamieszkania, pracy i wypoczynku umożliwiałyby utrzymywanie ścisłych więzi międzyludzkich. Dyskusje dotyczące spraw wspólnoty prowadzone w sposób nieformalny byłyby kontynuowane aż do osiągnięcia porozumienia. W procesie produkcji i podziału dóbr materialna skala wartości ustąpiłaby miejsca humanitarnej jej hierarchii. Każda wspólnota mogłaby zachowywać trzy główne gałęzie produkcji: rolnictwo, przemysł i rzemiosło. Pracy fizycznej przywrócono by należne jej miejsce w całokształcie rozwoju człowieka. Warunki pracy kontrolowaliby sami pracujący, ale system ekonomiczny spełniałby o wiele mniej ważną rolę niż obecnie

Dopuszczano by różne modele małżeństwa: grupowe, multirasowe, homoseksualne. Religia spełniałaby ważne funkcje w procesie poszukiwania ludzkiej autentyczności, lecz panowałaby tam pełna tolerancja wobec ateistów i różnowierców. System edukacyjny nowego społeczeństwa nie znałby rygorystycznych podziałów na klasy szkolne, sztywno określonych godzin lekcyjnych, zrutynizowanych metod nauczania oraz konkurencji uczniów o „dobrą" opinię i jak najwyższe noty. Całe środowisko życia dziecka — społeczne i przyrodnicze spełniałoby funkcje kształcące. Środki masowego przekazu poddane byłyby gruntownym przeobrażeniom. Zamiast ogromnych periodyków o zasięgu ogólnokrajowym, ukazywałyby się małe lokalne gazetki, broszury i książki umożliwiające podkreślenie indywidualnych rysów ludzi i komun. Jednostki znużone stylem życia dominującym w danej wspólnocie miałyby pełną swobodę przechodzenia do innych wspólnot.

III

Wielokrotne podkreślanie wartości pojedynczego człowieka, w sensie odrębnej, unikalnej osobowości, wskazuje na indywidualność ludzką jako jedną z naczelnych kategorii tej utopii. W konsekwencji zróżnicowanych osobowości różnorodność cechowałaby całe nowe społeczeństwo. Indywidualność i różnorodność muszą zakładać wolność, będącą kolejną kluczową wartością tej utopii. Różnorodność indywidualności czerpiących z wolności miałaby umoż-

Człowiek ze smutnego domu

Anna Borkowska

SIEDZIMY w wygodnych fotelach. Obok krząta się matka, ojciec, żona, mąż. Na ulicy bawią się dzieci. Mamy tysiące kłopotów i problemów, ale potrafimy się cieszyć z powodzenia w pracy i życiu osobistym, upominkiem czy chociażby słońcem. Cóż właściwie obchodzi nas, że jakiś tam Józef K. wpadł pod samochód. Zbigniew W. pobił żonę po pijanemu, czy że Grażyna S. utopiła się w jeziorze. Rzadko który przechodzień zatrzyma się przy człowieku leżącym na ulicy. Lepiej nie, bo może pijany? A może właśnie chory? Może potrzebuje naszej pomocy?

Będę pisała o Piotrze, który uważał, że został skrzywdzony przez los. Jego rówieśnicy bawili się, uczyli, mieli dziewczyny i prawdziwy dom, on musiał cierpieć! Zaczęło się w dzieciństwie od paraliżu, skończyło śmiercią na zapalenie płuc. Choroby przykuły go na dwadzieścia parę lat do inwalidzkiego wózka. Niewolniczo skazały na pomoc obcych dłoni, które nie potrafiły albo nie mogły, czy nie chciały, być tak ciepłymi i troskliwymi jak dłonie matki. Czekali przecież inni chorzy...

Daleko od domu, wśród obcych ludzi dziczał, gorzkniał, stawał się agresywny. Odwiedzało go sporo osób, rzadko rodzina. Na co dzień, od świtu do nocy, otaczali go ludzie jak i on cierpiący. Tylko jednostkom udało się w tym „piekle" zachować pogodną twarz i duszę. Większość wpadała w depresję. Normalne życie zostało przed nimi zamknięte. Ten dom, w którym zamieszkali, pozornie był tylko domem, w rzeczywistości stał się więzieniem ich chorób i kalectwa. Nienawiść. Początkowo do towarzyszy, później do siebie. Przeogromny żal do świata, do losu. Zazdrość zdrowia, normalnego życia.

Kochał matkę. Czekał na jej odwiedziny. Nie zdołałam się dowiedzieć, czy doczekał się spełnienia wielu swoich snów. Może ta agresja w stosunku do odwiedzających go, przecież obcych ludzi, wynikała właśnie z tego, że to nie było ONA?

Wspominam Ciebie dzisiaj znów,
Twój uśmiech, głos i każdy gest,
Przychodzisz do mnie podczas snów,
Czy wiesz, najmilsza, co to jest?

Być może, wszystko było snem,
Nie było Ciebie, ani mnie?
W tęsknocie mija dzień za dniem,
Nie mogę Cię zapomnieć, nie!

W zimowy, smętny, szary dzień
Wpatruję się przez mgłę. A nuż
Zobaczę Twego cienia cień,
Choć przecież wiem, że nie powrócisz
do mnie już.

Piotr pisał wiersze. Dlaczego? Podobno był inteligentny i ambitny. Podobno sam próbował poszerzać swoją jakże szczupłą wiedzę. Próbował tylko, bo brak zdrowia na więcej nie pozwalał. Podobno zamieszany był w jakieś drobne kradzieże i awantury na terenie domu. Chciałam wiedzieć o nim wszystko, poznać prawdę o człowieku. Spóźniłam się. O zmarłych nie mówi się źle.

Nie pamiętam, zapomniałem,
kiedy trzeba płakać,
a kiedy śmiać się.

Nie pamiętam żadnych Twoich słów,
nie pamiętam nawet Twojej twarzy,
nawet Twoich rąk.

Nauczyłem się życia na pamięć
nauczyłem się błyskawicznie zapominać.
Czy jestem szczęśliwy?
Nie pamiętam...

Piotr pisał wiersze. Wiersze, które chyba każdy z redaktorów działu literackiego jakiejkolwiek gazety wrzuciłby po prostu do kosza na śmiecie. Poświatowska też była chora, ale miała dom i miłość, miała ciepło i warunki zdrowia pozwoliły jej zdobyć nie byle jaki przecież bagaż wiedzy. Miała zdrowe nogi, mogła chodzić, jeździć, podróżować, poznawać nowych i ciekawych ludzi. Piotr był sam ze swoim wózkiem, ze swymi ciężkimi chorobami.

Leży przede mną zwyczajna kartka wyrwana z zeszytu zapełniona nieudolnym, dziecinnym pismem. Nie ma tu agresji, skrajnej rozpaczy, demonizmu. Jest przejmująca tęsknota, a nawet nikły cień uśmiechu.

Gdy patrzę na dziewczynkę,
przypomina mi to koniczynkę.
Gdy patrzę na dziewczęta,
moja buzia jest zawsze uśmiechnięta
Gdy patrzę na kobiety,
to cierpię na podniety.
Gdy patrzę na matrony,
przypominają mi się wrony.
Gdy patrzę na starsze panie,
to wiem, że mi się nic nie stanie.
Gdy patrzę na babcie,
to przypominają mi się stare kapcie.

Nie zdążyłam poznać Piotra. Piotr nie przeczyta wydrukowanych swoich słów. Przeczytają je nieszczęśliwe matki i ich nieszczęśliwe dzieci. Przeczytają te słowa chorzy ze smutnego domu, być może i zdrowi, którzy może przez chwilę się nad nimi zamyślą, zastanowią. I może te wygodne fotele, te ciepłe i przytulne domy przestaną być traktowane jako jedyne i ostateczne szczęście, jako jedyny i ostateczny cel życia...

---

liwiać swobodę poszukiwania autentycznego ja i przezwyciężania hamujących je przejawów alienacji w ramach wspólnoty. Wspólnota jako forma współżycia społecznego oparta na bliskich, często intymnych stosunkach międzyludzkich, miałaby umożliwiać nieskrępowane poszukiwanie swej indywidualności przez ludzi i prowadzić do przezwyciężania dzisiejszej atomizacji społeczeństwa. Hasło równości zajmowałoby tam drugorzędne miejsce wobec kluczowych idei, ponieważ skrajna równość prowadzi do ograniczenia wolności. Spełniałoby pewną rolę w przedmiocie podziału dóbr i jako pomoc przy unikaniu pułapek konsumeryzmu.

Kluczowe wartości tej utopii są potencjalnie konfliktowe.

Oto z jednej strony kompleks idei — indywidualność, różnorodność, wolność — z drugiej strony idee wspólnoty. W praktyce mogą się one ze sobą kłócić i ograniczać nawzajem. W takich przypadkach autorzy utopii zalecali poszukiwanie przyczyn konfliktu i dążenie do ich eliminacji.

IV

Myśl Nowej Lewicy amerykańskiej nawiązuje do niektórych składników marksizmu i anarchizmu.

W sumie koresponduje ona z marksizmem w następujących punktach: koncepcji alienacji, odrzuceniu konkurencji kapitalistycznej i samego systemu kapitalistycznego, rewolucji jako metodzie obalenia kapitalizmu i haśle socjalizmu jako zasadzie organizacji podstaw ekonomicznych przyszłego społeczeństwa. Dostrzegając klasową strukturę społeczeństwa kapitalistycznego ujmuje ją jednak statycznie.

Pomimo tych związków myśl Nowej Lewicy amerykańskiej z marksizmem w przedmiocie nowego ustroju społecznego, jest ona bliższa treściom anarchizmu. Jej autorzy nawiązali głównie do anarchizmu indywidualistycznego i kolektywistycznego. Wolność wynieśli do rangi wartości naczelnej, a brak władzy politycznej uznali za niezbędny warunek jej urzeczywistnienia. Wolność powiązali z równością interpretowaną w duchu socjalizmu utopijnego. Zasadę porozumienia uznali za podstawę przy podejmowaniu decyzji przez wspólnotę. Zakładali dobrowolność współdziałania i współpracy jej członków bez potrzeby sięgania do przymusu. Postulowali, aby kontrolę produkcji i podziału dóbr przekazać samym robotnikom.

Według dotychczasowych opinii poszukiwanie przyjemności, zwłaszcza seksualnych, uchodziło za desperacką próbę ucieczki od okropności dnia codziennego. Nowa Lewica amerykańska dążyła do przyjemności jako dobra samego w sobie, z natury ludzkiej pożądanego i godnego znalezienia. Etos jej myśli jest etosem seksualnej przyjemności. Łączy się z natychmiastową realizacją już nie tyle doczesności, co aktualności wyrażanej hasłem „tu i teraz". Dotychczas liderami rewolty seksualnej byli anarchiści, obecnie ich rolę przejęła Nowa Lewica amerykańska. Wyraźne podobieństwa pomiędzy oboma naturami myśli politycznej istnieją w przedmiocie edukacji, aczkolwiek Nowa Lewica wejrzała znacznie głębiej w jej problemy. W myśli Nowej Lewicy wystąpiła duża różnorodność opinii na temat stosunku do religii, znacznie większa niż w anarchizmie. Wynikła ona przede wszystkim z jej zainteresowania bogactwem treści w religiach Wschodu, uznawanych za pomocne przy poszukiwaniu autentycznego ja.

V

Przebieg młodzieżowych ruchów w Stanach Zjednoczonych, treści ich żądań i wizja nowego społeczeństwa dostarczają dostatecznych podstaw do określenia ich mianem utopijnych. Ich utopizm przejawiał się tak w metodach walki, jak i treściach wysuwanych programów. Metody walki oparte były na zrywaniu z doświadczeniami rewolucyjnych ruchów przeszłości, sięganiu do przemocy absolutnej, zaufaniu do żywiołowego przerastania emocjonalnego buntu w zracjonalizowaną rewolucję, niechęci do sił socjalistycznych i komunistycznych oraz doświadczeń państw socjalistycznych. Utopizm zaznaczył się w treści żądań takich reform, które były niemożliwe do realizacji w ramach systemu kapitalistycznego oraz wizji nowego społeczeństwa opartej na przekonaniu o tożsamości wszelkich pragnień z realnością ich szybkiego urzeczywistnienia.

Utopijność ideologii Nowej Lewicy amerykańskiej wynikała z braku potężnej siły motywacyjnej zdolnej zepchnąć zachowawcze społeczeństwo amerykańskie na nowe tory rozwoju. Jej autorzy odwoływali się do społeczeństwa o utrwalonej świadomości prokapitalistycznej, opierając się na siłach niezdolnych do przeprowadzenia zasadniczego przewrotu społecznego. W tym sensie sięgali bardziej do wyobraźni i pobożnych życzeń niż zdrowego rozsądku i trzeźwej kalkulacji politycznej. Rozszerzająca zwykle krąg alternatyw społecznych wyobraźnia potykała się tutaj o utrwalony konformizm społeczeństwa i barierę nierealności przedsięwzięć. Nowa Lewica amerykańska nie potrafiła pogodzić wyobraźni z realnością, a rewolucyjnego uniesienia z rewolucyjnym realizmem.

Wprawdzie Nowa Lewica amerykańska nie osiągnęła żadnego ze swoich długofalowych celów, niemniej pozostawiła dziedzictwo o trwałej wartości. Przede wszystkim ukształtowała generację młodych ludzi o odmiennej od burżuazyjnej świadomości, w niektórych punktach bliskiej marksizmowi. Rozbudziła krytycyzm społeczny wskazując raz jeszcze na trudne problemy rasizmu, ubóstwa, szkolnictwa i stosunku do wojny imperialistycznej. W tym zakresie odnotowała pewne konkretne osiągnięcia jak zwłaszcza dalsza poprawa sytuacji Murzynów amerykańskich i reformy szkolnictwa wyższego. Wyodrębniła także te inne wartości, które powinny być realizowane już dzisiaj, gdyby możliwe było przełamanie barier systemu kapitalistycznego. Wskazała na potrzebę przemian obyczajowych w życiu społeczeństwa amerykańskiego, które nie były do pomyślenia przed nią. Podjęła krytykę tych podstawowych wartości, na których opiera się jego obecna struktura. Społeczeństwo, jak amerykańskie, w którym rodzą się ruchy masowego protestu nie może nie rewidować zasad swojego systemu i katalogu deklarowanych wartości.

ZAPOMNIANE ZABYTKI LUBELSZCZYZNY W RYSUNKU RAJMUNDA URBANOWICZA

Zarejestrowana w rysunku Rajmunda Urbanowicza murowana obudowa dawnego zdroju wodnego przy ul. Ruskiej w Lublinie datowana jest na przełomie XIX i XX stulecia. Dziś należy do ostatnich pozostałości tego typu „małej architektury" naszego miasta.

Dawniej podobnie lub wręcz identycznie projektowanych obiektów było więcej. Zupełnie analogiczna studzienka znajdowała się np. na dawnym placu targowym rozciągającym się poniżej magistratu lubelskiego. Funkcje użytkowe tych obiektów umiejętnie godzono z walorami architektonicznymi, ujmując zewnętrzne narożniki ścian w pilastry, żłobiąc półkoliste wnęki, eksponując żółtawy koloryt nietynkowanych, ceglanych ścian.

W przetrzebionym pejzażu ulicznym Lublina, na który składały się stylowe lampy — „pastoraty", zdobione historyzującymi zwieńczeniami słupy ogłoszeniowe, ogrodzenia gmachów monumentalnych w postaci żelaznych łańcuchów z murowanymi „pachołkami", obudowa zdroju wodnego przy ul. Ruskiej jest formą ginącą, unikalną. Te względy spowodowały, iż jeszcze w r. 1972 wpisano ten drobny obiekt do rejestru zabytków województwa lubelskiego.

(ak)

Mikołaj Müller

RANNE RONDO

Weź dzbanek wody
wylej na głowę
i odstaw obok
Dzbanek — nie głowę!
Wyjrzyj przez okno
łyknij kawusi
i odstaw obok
Kawę — nie okno!
Ubierz się prędko
wskocz do tramwaju
i stańże obok
Ładnej dziewczyny —
Do której także mówię te słowa:
Weź dzbanek wody
wylej na głowę
i odstaw obok
Dzbanek — nie głowę
Wyjrzyj przez okno
łyknij kawusi
i odstaw obok
Kawę — nie okno!
Ubierz się prędko
wskocz do tramwaju
i stańże obok
Tego do kogo mówię te słowa:
Weź dzbanek wody...

Kamena str. 11

• BÓL
• CEGŁY
• MALARSTWO

WYWIAD Z TOMASZEM KAWIAKIEM

U SCHYŁKU lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, Tomasz Kawiak — urodzony w Lublinie absolwent warszawskiej ASP — należał do grupy tych młodych artystów polskich, których działania wzbudzały duże zainteresowanie krytyki plastycznej oraz publiczności. Kawiak zajmował się wówczas twórczością konceptualną, mocno — co godne uwagi — sprzężoną z kontekstem społecznym, aranżując jednocześnie szereg akcji wymierzonych przeciw konwencjom naszego życia codziennego i sztuce zniewolonej oficjalnym protokołem. Kiedy w warszawskiej „Zachęcie" uroczyście, ceremonialnie otwierano kolejne Międzynarodowe Biennale Plakatu, w szacownych salach pojawił się nagle Kawiak, przyodziany w białą koszulę nocną oraz na wrotkach — aby nakłonić publiczność do przeniesienia się do pobliskiej „Galerii Współczesnej" Boguckich, gdzie wraz z kolegami zorganizował „Antybiennale". Niedługo potem obandażował wierzchołki przyciętych drzew wzdłuż ul. Narutowicza w Lublinie, co spowodowało niemało dobrego zamieszania w świadomości przechodniów i mieszkańców okolicznych domów, zawzięcie i spontanicznie dyskutujących ów fenomen *). O wydarzeniu informowały m. in. afisze w postaci cmentarnej klepsydry, a forma ta została rychło skopiowana na sympozjum „Złotego Grona" w Zielonej Górze, tyle że bezskutecznie: anonse pozrywano ze słupów ogłoszeniowych i murów za sprawą siły wyższej.

Od kilku lat Tomasz Kawiak przebywa w Paryżu, nie tracąc żywych kontaktów z krajem, także z Lublinem. Wydało nam się więc sensowne przedstawić czytelnikom „Kameny", to co artysta myśli obecnie o twórczości własnej, o niektórych zjawiskach sztuki współczesnej, o miejscu, w którym żyje i pracuje. Technicznym środkiem łączności z artystą były przy tym: listy (pytania do wywiadu) oraz taśma magnetofonowa (odpowiedzi) przesłana Ireneuszowi J. Kamińskiemu, który tekst opracował.

— Od ośmiu lat mieszka pan w Paryżu, który, było nie było, nadal uznawany jest za ważny ośrodek sztuki światowej. Jak pana przyjęto w tym wielkim, międzynarodowym środowisku artystycznym?

— Przyjechałem do Francji z chęcią zaprezentowania tego, co robiłem dotychczas w Polsce, z pragnieniem potwierdzenia swojego stanowiska w sztuce; był to odruch spontaniczny. No i pierwsze trzy lata poświęciłem na asymilację w obcym środowisku, na przedarcie się do galerii i rozwiązanie innych, bardzo trudnych, kwestii. Chyba osiągnąłem cel zamierzony, ale poważnym kosztem: ograniczenia własnej działalności twórczej. Prawdę mówiąc, nic znaczącego w tym wstępnym okresie nie zrobiłem. A kiedy jakoś przebrnąłem ów specyficzny nowicjat, ze zdumieniem spostrzegłem, że nawet w tak wielkim i wewnętrznie zróżnicowanym ośrodku sztuka awangardowa należy do zjawisk marginalnych. Może 50, a najwyżej 100 artystów pracuje na tym obszarze, wzbudzając zainteresowanie 3 — 4 galerii i kilku krytyków. Przypomnę, że w Paryżu działa ponad 10 tysięcy malarzy — przynajmniej tak twierdzą Francuzi.

— Sądząc po dokumentacji wystaw, które miał pan we Francji, Belgii, we Włoszech i w USA, można pana zaliczyć do tej kilkudziesięcioosobowej awangardy, znacznie chyba mniejszej — co intrygujące — od tej, jaką tworzą w Polsce ludzie mianujących się awangardystami. Nie wiem jednak dokładnie, czy w ramach pańskiej aktywności znalazło się miejsce na kontynuację takich akcji, jak np. lubelski „Ból Tomasza Kawiaka", prezentowany wzdłuż ul. Narutowicza...

— Po części. We Francji podejmowałem działania typu konceptualnego, eksponujące problem komunikacji międzyludzkiej, określanej przeze mnie systemem wymiany, konkretniej: „trocart". Czteroletnie doświadczenia w tej materii zbilansowała publikacja pod identycznym tytułem, która ukazała się w Belgii.

— Z ulotki sprzed lat prawie dziesięciu wynika, że rozpowszechniał pan wówczas idee „Gestu, Podziału, Dystrybucji, Przesyłki, Wymiany", umownie obejmując akcją całą kulę ziemską i posługując się odpowiednio spreparowanym chlebem, którym dzielił się pan z przypadkowo spotkanymi ludźmi. Ta działalność trafiła zresztą do przekonania Kazimierzowi Braunowi, o czym świadczy reportaż zamieszczony przez niego kilka lat temu w „Kamenie". Andrzej Osęka miał odmienne zdanie na ten temat...

— W moich działaniach były elementy interwencji społecznej, więc niejako oficjalnie zaliczano mnie do kręgu artystów uprawiających tzw. sztukę socjologiczną. Współpracowałem zresztą ze znanym kolektywem, podejmującym cytowaną problematykę, kontaktowałem się z wybitnym krytykiem, Pierre Restanym, którego te sprawy interesowały... To wszystko należy jednak do przeszłości. Około 1974 roku rozwijałem swoje poszukiwania w całkowicie odmiennym kierunku, bliskim plastyce. Wykonałem np. serię obrazów prezentujących, jak to określiłem, „chwilę Tomka". Były to fotografie tych momentów, które poświęcałem na rysowanie lub analizowanie samych narzędzi artystycznych. Powiększone następnie zdjęcia były odbijane na płótnie z emulsją fotograficzną. W tej serii pojawił się ślad poszukiwań czysto estetycznych.

Później próbowałem rekonstruować sam proces kreacji, posługując się szarymi pastelami, węglem lub czarnym ołówkiem i rysując przy ich pomocy na kartonie o grubości 2 cm, w który inkrustowałem narzędzia, np. zużyty ołówek. Kawałek drewienka z grafitem leżał więc obok kreski, którą wcześniej wyznaczył, będąc sygnałem pewnego etapu działania, czy raczej — przerwy w tym działaniu. Problem narzędzia, manipulacji i dzieła zawsze zresztą intrygował artystów, w różny sposób badających relacje między nimi. W seriach takich rysunków — można je zaliczyć do sztuki gestu ze względu na ogólną koncepcję i technikę operacji — chciałem zrekonstruować proces tworzenia: od zera do czegoś, co nie zostało faktycznie zakończone.

— Powiedziałbym, że zbliżył się pan do plastyki pojmowanej jako konstrukcja formy. W opisanych rysunkach nadal przecież dochodzi do głosu konceptualista, demaskowany skłonością autora do refleksji nad mechanizmem kreacji.

— Być może, ale zaraz potem postawiłem tezę całkowicie sprzeczną z programem konceptualistów, próbując unaocznić, że to właśnie materia dyktuje koncepcję, a nie odwrotnie. W tym celu posłużyłem się gliną ceramiczną i systemem metrycznym. Wykonany z tej gliny obiekt zmniejszał się wysychając, malejąc jeszcze bardziej po wypaleniu. Niby wiadomo, dlaczego tak się działo, ale obserwując ów proces znikania powierzchni miałem wrażenie obcowania z modelem, czy ja wiem, chyba czarnej dziury w kosmosie, opisanej przez astrofizyków. Obiekty o długości 30 cm kurczyły się do 22 — 24 cm, półmetrowe redukowały się do 44 cm — to doprawdy fascynujące. Przedmioty ceramiczne odlewałem następnie w brązie, ilustrując ponadto cały proces rysunkami.

Później — zabrzmi to dwuznacznie — zająłem się cegłami. Ale nie na zasadzie znanej z pop-artu czy twórczości Marcela Duchampa, eksponującego rzeczy gotowe, wykonane fabrycznie, znalezione. Cegła, pomyślałem, to jakby elementarny składnik potocznych marzeń o życiu szczęśliwym: w murach własnego domku jednorodzinnego. Ludzie latami z uporem zmierzają do tego celu, który okazuje się w końcu i dość nieoczekiwanie sprawą marginalną, bez znaczenia. Naturalnie, podszedłem do sprawy z pewną dozą ironii, która zresztą zawsze była obecna w mojej działalności, tyle że nie explicite.

Cegły, które fabrykuję własnoręcznie, zbliżone są rozmiarami do znormalizowanych, z tym, że noszą moją sygnaturę i są zdeformowane; byłby duży kłopot z użyciem ich do celów budowlanych. Ponieważ na dodatek odlewam je w brązie, ołowiu, aluminium, plastiku czy szkle — są to cegły absolutnie nieużyteczne, mogące co najwyżej funkcjonować w sferze pod tytułem „kup pan cegłę". Zresztą w tutejszym żargonie „cegła" oznacza 10 tysięcy franków, tak jak w Polsce „kafel" — 1000 złotych. I w ten oto sposób ironizuję sobie na temat społeczeństwa konsumpcji.

Obecnie maluję: na płótnach o powierzchni 1,20×1,20 m przedstawiam metr kwadratowy... cegieł, które wypełniają obrazy, jak nawarstwiająca się architektura. Są to kompozycje otwarte, nie mające nic wspólnego z „martwą naturą". A maluję tradycyjnie, opierając się na technologii starych Holendrów: olejem z laserunkami, przy użyciu werniksu.

— No wie pan?! Co na to powiedzą pańscy koledzy — polscy konceptualiści, z którymi kiedyś współdziałał pan owocnie i intensywnie!

— Nie chciałbym być źle zrozumiany. Mówiąc o malarstwie tradycyjnym nie miałem na uwadze tego, które niejako z rozpędu uprawia wielu malarzy w kraju, nie przekraczając dawnych schematów wyobrażeniowych i intelektualnych. Ja próbuję wykorzystywać stare technologie jako środek wizualizacji problemów współczesnych, jako bazę refleksji ogólniejszej, powiedzmy — filozoficznej. Do niedawna interesowały mnie inne kwestie, obecnie zajmuję się zagadnieniem reprezentacji, wykorzystując do tego pewne reguły reprezentacji malarskiej typu realistycznego. Przy okazji przypomnę, nie łącząc tego z moim przypadkiem, że pod koniec życia dadaista Francis Picabia powrócił do malowania obrazów, a i Marcel Duchamp, ojciec duchowy konceptualizmu, u schyłku swej drogi wykonał dzieło realistyczne.

— Proszę powiedzieć: co się dzieje w młodej sztuce Paryża?

— Nie wiem. Wycofałem się z życia towarzyskiego, nie bywam na wernisażach, których kiedyś nie opuszczałem, zaszyłem się w czterech ścianach swojej pracowni, którą otrzymałem od władz Paryża — mówią, że w dowód uznania. Ale czekałem na nią pięć lat. Więc nie bardzo wiem, co wokół się dzieje. Pracuję.

— Czy mógłby pan odpowiedzieć na takie banalne, ale chyba ciągle aktualne pytanie: do jakich form obecności społecznej zmierza sztuka?

— W 1976 roku powiedziałem sobie, że nie będę robił tego, co wielu innych wykonuje pod hasłem aktualności, współbrzmienia z rytmem czasu itp. itd. Między innymi dlatego powróciłem do malarstwa. Mówię przy tym jednoznacznie, że nie wierzę, tak właśnie — nie wierzę już w sztukę konceptualną, w sztukę komunikacji rozumianej jako komunia. Jest to dla mnie tym bardziej dramatyczne, że w Instytucie Sztuk Wizualnych w Orleanie pod Paryżem odpowiadam za kierunek grafiki — w ramach departamentu komunikacji. To, co w minionych latach zrobiono we Francji w dziedzinie dziś przeze mnie negowanej, nie przedstawia w moich oczach żadnej wartości. Nie tylko zresztą w moich... Można ten okres nazwać wielką pomyłką, owiniętą w kokieteryjne hasło „sztuki dla wszystkich", albo: „wszyscy ludzie mogą robić sztukę". To zupełny bełkot! Obecnie największą dla mnie wartość przedstawia praca malarska: codzienna, żmudna, aż do założonego efektu. Półtora miesiąca temu rozpocząłem jeden obraz i nadal daleki jestem od jego zakończenia. Proponuję więcej szacunku dla słowa profesja; artysta to znaczy także zawód, fachowość, specjalizacja. Tymczasem wielu młodych twórców dalej ulega iluzjom, zadowalając się łatwizną, preferując zamysł nad wykonanie dzieła. Moim zdaniem sprawność manualna jest nieodzownym elementem wyposażenia pełnego artysty.

Po okresie burzy i zamętu obserwuje się zresztą na Zachodzie pewien dobry spokój wśród artystów, pragnienie przywrócenia w sztuce ładu, jakiegoś niekwestionowanego systemu wartości. Osobiście, we własny sposób chciałbym przedstawiać w twórczości treści indywidualnego doświadczenia.

— I jeszcze jedna sprawa: jak wygląda szkolnictwo artystyczne we Francji?

— Jak wspomniałem, wykładam w orleańskim Instytucie Sztuk Wizualnych, który jest czymś w rodzaju szkoły pośredniej między polskim liceum plastycznym a akademią. Egzaminy wstępne tu nie obowiązują, wystarczy zapisać się po prostu, no i wnieść odpowiednią opłatę. Natomiast wykładowców angażuje się w drodze egzaminu konkursowego, który trwając dwa dni obejmuje teorię pedagogiki oraz zajęcia ze słuchaczami; liczy się też indywidualne dossier kandydatów, ich biografia artystyczna.

Instytut należy do grupy szkół regionalnych, subwencjonowanych przez merostwa. Istnieją ponadto placówki państwowe. W sumie we Francji działa bodaj 17 wyższych szkół artystycznych. Poziom studentów wydaje mi się niższy, niż w Polsce.

Istotne, że tutejszy klimat sprzyja młodym ludziom, którzy chcą pracować na terenie sztuki. Warto przy tym wiedzieć, że ewentualnego pracodawcę zupełnie nie obchodzi, czy adept posiada dyplom, czy nie. Tu liczy się faktyczna znajomość rzeczy, praca i postawa człowieka. Zdarza się więc często, iż ludzie bez żadnych formalnych kwalifikacji, bez „papierów", robią wielkie kariery.

— Dziękuję serdecznie, panie Tomaszu, i do zobaczenia w Polsce. Tymczasem życzę satysfakcji z wystawy, którą przygotowuje pan na rok 1979 w Paryżu.

*) W poprzednim retrospektywnym i jubileuszowym numerze „Kameny" przypomnieliśmy „Ból Tomaszowy" drukowany w tym piśmie w 1970 r.

Nasi w Budapeszcie

PONAD dwudziestoosobowa grupa literatów z Lubelszczyzny (niektórzy z żonami), głównie członków Koła Młodych przy Oddziale ZLP w Lublinie, przebywała w Budapeszcie (9—15 IX). Całością kierował przewodniczący Koła, Bogusław Wróblewski, inicjator wyprawy. Nad stroną moralną czuwał opiekun Koła, Wiesław Zięba, dyrektor muzeum im. Czechowicza.

Władze wojewódzkiej kultury potrząsnęły kiesą : chwała im za to — na autokar i noclegi (wyżywienie opłacali uczestnicy w swoim zakresie). Wycieczka takiego zespołu ludzi z zakładu pracy kosztowałaby dwa razy tyle i raczej nie jechałoby podobne grono młodzieniaszków świętych pod względem merkantylnym, choćby nawet i niektórzy z żonami. Notabene prawda o dworcu Keleti: udzielają się handlowo nie tylko Polacy, lecz również obywatele innych krajów.

Wyprawa lubelskich literatów nie przemieniła się także w imprezę silnej grupy wycieczkowej, poruszającej się wyłącznie autokarem, zakwaterowanej w jednym miejscu, rozpoczynającej pobyt wieczorkiem zapoznawczym, kończącej wieczorkiem pożegnalnym, a w tak zwanym międzyczasie oddającej się radościom stadnego przeżywania konwencjonalnych atrakcji turystycznych pod kontrolą wygadanych przewodników.

Były wprawdzie dwa zbiorowe wyjazdy autokarem za Budapeszt, typowo turystyczne. Ale rozrzuceni po dwie trzy osoby na kwaterach prywatnych w Budzie i Peszcie, samą stolicę Węgier zwiedzaliśmy głównie piechotą, indywidualnie, czyli gruntowniej jakby i samodzielniej oglądając nie tylko zabytki, lecz również codzienne życie miasta. I czy jest stwierdzone, że natchnienia i obserwacje twórcze mogą nawiedzać człowieka wyłącznie na wierzchołku czcigodnej góry Gellérta, a nie choćby podczas oglądania jednego z wielu zwykłych podwórców XIX-wiecznych domostw?

Przy krajoznawczej okazji niektórzy oddawali się smakom węgierskiej kuchni, tłustej, ostrej i dobrze rymującej się z winem wytrawnym. Inni ulegali pokusom sklepów budapeszteńskich, znakomicie urządzonych i zaopatrzonych, gdzie jednak trzeba uważać, ponieważ sprzedawcy miewają praktyczny zwyczaj zaokrąglania wobec turystów cen w górę, zupełnie jak by nie istniały na świecie fillèry a tylko same forinty.

Pewnego wieczoru, chędogo odziani i wypucowani, spotkaliśmy się bez żon w Klubie Młodych Twórców, gdzie krytyk nazwiskiem Kulcsar, także młody, opowiadał o współczesnej literaturze węgierskiej (za pośrednictwem tłumacza). Kulcsar mówił interesująco i odważnie o powojennych kompleksach i samobiczowaniu się narodu, który przegrał wojnę. O tym, że oni, potomkowie generacji uczestniczącej w wojnie, nie czują się odpowiedzialni za tamten czas i dość mają samobiczowania, aczkolwiek czują się odpowiedzialni za życie społeczno-polityczne w swoim kraju, dzisiaj.

Ze stosunku do przeszłości najbliższej i współczesności wyrosła antologia wierszy dziewięciu młodych poetów węgierskich, wydana — po dość długim oczekiwaniu — w roku 1969 pt. „Ziemia nieosiągalna". (Pośród tej dziewiątki autorów znajduje się I. Kovacs, świetny poeta i tłumacz literatury polskiej). Antologia wyszła w nakładzie około 2000 egzemplarzy i błyskawicznie zniknęła z księgarni, a ostatnio ginie z bibliotek za sprawą bibliofilów.

Prócz tej polityLizującej tendencji istnieje jeszcze w młodej poezji węgierskiej lat ostatnich kierunek poszukiwań egzystencjalnych, a zarazem poszukiwań nowych środków wyrazu. Twórcy operują ironią, groteską, przeprowadzają eksperymenty „słowiarskie". Liryka — twierdzą — musi na nowo udowodnić swoją rację bytu. Przetrawiają problemy osobowości ludzkiej, alienacji jednostki.

Kierunek ów — twierdzi Kulcsar — spotkał się z zarzutem dekadencji i mieszczańskości. Niemniej utwory tych poetów wchodzą do wydawanych regularnie antologii najpiękniejszych wierszy roku.

Klęska roku 1945 oraz lata pięćdziesiąte domagają się szerszego obrazu epickiego, którego — jak dotąd — właściwie brak. Doświadczenia pokoleniowe nie upoważniają młodych prozaików węgierskich do podejmowania tych tematów bezpośrednio. Ukazują się głównie historyczne powieści-parabole, na przykład o dekadencji emigracyjnej Węgrów w połowie XIX wieku.

W latach siedemdziesiątych pojawiło się nowe zjawisko w prozie. Próby epiki dużego formatu, swego rodzaju sagi rodzinne, skoncentrowane wokół spraw obyczajowych i psychologicznych, konfliktów familijnych, rozwodów, romansów i zdrad małżeńskich, wokół życia tak zwanych zwykłych ludzi. Książki do czytania, którym wszelako brak szerszego kontekstu społeczno-politycznego. Rodzaj dużego... „małego realizmu".

Na Węgrzech tworzy około 150 młodych pisarzy. Są to zazwyczaj ludzie dość starannie wykształceni, znający języki obce oraz literaturę światową. Tomiki poezji wydają w nakładzie około 1500 egzemplarzy, prozy — około 5000. Żeby dostać się do Związku Literatów, potrzeba — jak w Polsce — opublikować dwie książki, choć nie jest to przyjęcie automatyczne, decyduje ostatecznie komisja. Docierają do nich — poprzez tłumaczenia — nowości polskiej literatury. Wspominano na przykład o „Siekierezadzie" Stachury i „Polowaniu na muchy" Głowackiego.

Osobna sprawa to przygotowywana przez ludzi z kręgu Kulcsara antologia młodej poezji polskiej. Lubelscy literaci przywieźli na spotkanie w budapeszteńskim Klubie Młodych Twórców swoje tomiki, które wręczyli gospodarzom. Zbieżność tych dwu faktów wydaje się obiecująca.

Z szefem Związku Pisarzy Węgierskich, Gáborem Garai'em, uzgodniono, że mogłaby dojść do skutku już w przyszłym roku wymiana młodych pisarzy między Lublinem, a Debreczynem, po pięć osób z każdej strony na miesięczny pobyt. Nie wymaga to kwot przekraczających możliwości finansowe lubelskiej kultury. Pierwsza wymiana miałaby szanse już w maju przyszłego roku, kiedy w Debreczynie są obchodzone Dni Lublina.

Maciej Podgórski

Listy do Gerwazego

KRYTYK chce zarzucić komuś zdawkowość opinii i posługuje się określeniem „kawiarniana filozofia". Z pewnością czyni to bez głębszego przekonania, z pewnością dobrze musiał poszperać w zabytkach krytycznego języka. Przecież nie wziął z akutalnej rzeczywistości. Gdzie dzisiejszej kawiarni — tej mordowni na siedząco — do dawnego lokalu służącego uprawie życia towarzyskiego z jego snobizmem, pozerstwem i plotkarstwem. Zgoda, że te trzy postawy nie mogą pochwalić się kwalifikacją dodatnią. Ale było na nie miejsce! W kawiarni tej z okresu niegdysiejszych śniegów było na nie miejsce. Spróbujmy się teraz posnobizować w dzisiejszej. W tym trolejbusie bez kół, tak samo zatłoczonym i tak samo eliminującym możliwość zwrócenia uwagi nawet najdrastyczniejszą osobowością. Gdzie jest za ciasno nawet na snobizm.

Czyli określenie „kawiarniana filozofia" to jawny anachronizm.

Ale czy tylko ono? Czy nie przedawniło się wiele innych spojrzeń na poezję, na literaturę, na twórczość? Na przykład brak mi pewności, czy mam rację, kiedy mówię, że wiersz jest liryczną reakcją na świat. Liryka implikuje pewną intymność, konfesyjność, rzekłbym nawet złączony z nią pewien — że użyję takiego terminu — dyskretny ekshibicjonizm, a więc zjawiska nie tylko dziejące się w warunkach samotności, ale i odbieralne w ciszy bezpośredniego obcowania autor — czytelnik. Gdzie to wszystko mamy dzisiaj? Kto jest samotny i jako autor i jako czytelnik we współczesnym mrówkowcu?

Tak samo, kiedy wypada mi powiedzieć, że wiersz jest wyrazem indywidualności. Do licha, jakiej indywidualności! Ta indywidualność może zresztą i jest, ale znika w momencie przytknięcia długopisu do kartki papieru. Jakby autorskim punktem honoru było — naodwrót — najbardziej się upodobnić, zszarzeć, stanąć w szeregu. Zniknąć w tłumie. Jeśli ktoś dla kawału zechce mi pokazać wiersz np. Anny Młotkowskiej jako wiersz np. Zbigniewa Doleckiego, to uprzedzam, że nie warto się fatygować, już teraz stwierdzam, że kawał się uda. Kiedy kogoś rozpoznam nie po nazwisku, lecz po stylu, to tylko kogoś, kto nawet na tym tle się wyróżnia, czyli superdziwaczy, jak np. Miron Białoszewski (i jeszcze ktoś, kogo tu nie wymienię, bo Białoszewski „dziwaczenie" przyjmuje za komplement, a ten drugi może się obrazić).

Wcale nie chodzi mi o to, by tej czy tamtej piersi na miarę Fidiasza ukraść order, a przypiąć łatkę, czy dalej snuć monotemat na bęben w sensie, jaka jest ta współczesna poezja. Ja jej nie odbieram — patrz jaki ze mnie dwulicowiec — pewnych wartości. To bywa interesujący zapis refleksji, stanów psychicznych, spostrzeżeń, prób pochwycenia zwiewnych nastrojów. Bywa. Tylko nie bywa poezją. I to autorzy powinni mieć odwagę wyraźnie powiedzieć. „Poezja się skończyła, nie będziemy powtarzali ani Słowackiego, ani Tuwima. Tworzymy nowy sposób użytkowania mowy". Czy nie to powinniśmy, czytelnicy, usłyszeć? Dziwne mi na sali do odczytów jako jeden z pierwszych informujących wyrazów usłyszeć słowo „poezja", a później mieć do czynienia z potokiem lejącej się, nie akcentowanej szarzyzny, bez kształtu, bez pointy, bez błysku. Owszem, da się z tego coś wyłowić, ale treść ta będzie innego rodzaju niż poetycka. Nie pisze się wierszy. Układa się kolaże ze słów.

Ale to wszystko przyklepywało się krytyczną szpachlą jakby nikomu w Polsce nie zależało na tym, by pokazać istotne problemy i mankamenty współczesnej literatury. Jakby — na odwrót — zależało na przedstawieniu niedomagań za stan idealnego zdrowia. Dlatego z niejakim uznającym zdziwieniem należy powitać ukazanie się książki szkiców krytycznych Zbigniewa Irzyka „Królestwo literatów", gdzie może nie ma zbyt wnikliwych analiz i głębinowych drążeń problemu, ale nie ma również denerwującej sztampy optymistycznej ani przemilczeń. Przecież ten krytyk każdemu się ponaraża, zostanie usunięty z cechu. Jest jakiś dziwny nawyk traktowania obowiązku kogoś piszącego o książkach jako konwenansu towarzyskiego. Norwida „ołowianej litery urząd" spełnia się dziś jako zmowa możniejszych i domyślność mniej możnych w kultywowaniu bezkonfliktowości. A ja chciałbym powiedzieć, że mimo nagrody miesięcznika „Poezja" cierpliwie od lat celebrującego swoją organistówkę Jana Bolesława Ożoga wcale nie uważam za wybitnego poetę, a w jego tekstach widzę rudymentarność, która wynika z dziwnie u tego autentysty negliżowanej muzyczności wiersza. Tak samo nie wpadłem w zachwyt z powodu ostatniego tomu „Szczęśliwa jak psi ogon" Anny Świrszczyńskiej, która konsekwentnie wykazuje skłonność do epatowania „odważnymi" w swym „cyniźmie" zestawieniami. Kiedyż do diabła napisze ktoś w Polsce kiepski wiersz? Sądząc po recenzjach należy dojść do wniosku, że przeżywamy niebywały rozkwit poezji. Bo to perfidne narzędzie krytyczne w razie potrzeby tak potrafi osnuć ućmą mglistych, „inteligentnych" sformułowań każdy tom wierszy, że w najgorszym razie tylko nie wiadomo o co chodzi. Nigdy nie wiadomo, że chodzi o nieudany utwór. Irzyk nie rozpoczął ery krytyki w Polsce. Ale zaproponował powrót do zdrowego rozsądku, co ze względu na sytuację w literaturze można uznać za nowatorskie.

Bo cóż. Literatura rodzi się z konfliktów? Tak mówi krytyka. I częstuje ją czekoladowymi wafelkami.

Protazy

P. S. W moim poprzednim liście ktoś przymiotnik „sanacyjna" zmienił na „sensacyjna", a „rozsmakowany" połączył z czwartym, a nie z szóstym przypadkiem. Tej oryginalności stylu nie przypisz mnie.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

● Lublin należy do miast, w których gra w loterię może zanadto jest rozpowszechniona, zazwyczaj bowiem wszystkie bilety, jakie u kolektorów miejscowych znajdują się, rozkupione są szybko, chociaż z drugiej strony nie można powiedzieć ażeby gracze nasi nie byli szczęśliwymi. W każdym pociągnieniu jakaś większa wygrana przypada w udziale lublinianom, a nawet w ciągu kilku ostatnich lat, niejednokrotnie główna wygrana w tutejszych kantorach wypłaconą została. I tym razem fortuna nie pominęła Lublina, na odbytych bowiem w tych dniach ciągnieniach 4-tej klasy 131-ej loterii klasycznej wygrana rs. 4000 padła na numer 6806, w kantorze p. Weinberga.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

● W ostatnich czasach rozpowszechniane są przez różne firmy zagraniczne prospekty dotyczące tak zw. handlu lawinowego, polegającego na kupnie biletów loteryjnych uprawniających sprzedawców po dalszym rozpowszechnieniu pewnej ilości tych biletów do otrzymania bezpłatnie samochodu, mebli, bezpłatnej podróży itp. Według zebranych informacji we wszystkich takich wypadkach ma się do czynienia z osobnikami, ukrywającymi się pod płaszczykiem rzekomo istniejących firm, którzy w drodze oszukańczych machinacji wyzyskują łatwowierność ludzką. Ostatnio podobną działalność na terenie Lublina rozwinęła firma „H. Bromoert Co" z siedzibą w Amsterdamie, nie podająca swego właściwego adresu, tylko skrzynkę pocztową, która kolportuje w Polsce prospekty tzw. „handlu lawinowego". Prospekty te w języku polskim, zapowiadają w sposób sensacyjny możność zdobycia za darmo wartościowych przedmiotów. Jest to zwykła gra oszukańcza, obliczona na łatwowierność szerokich warstw ludności.

„Głos Lubelski"

●

● W dniu dzisiejszym w przeddzień rozpoczęcia Tygodnia Lotniczego Lubelski Komitet Wojewódzki organizuje niezwykłą i niewidzianą jeszcze w Lublinie imprezę. Będą nią nocne loty nad miastem. O godz. 8-ej wieczorem, o ile dopisze pogoda, ukaże się nad miastem samolot należący do eskadry propagandowej LKW pilotowany przez p. Szulczewskiego, który wykona nad miastem szereg efektownych ewolucji, oraz wyrzuci rakiety świetlne. Nie wątpimy, że rzadka okazja oglądania samolotu w nocy zgromadzi na ulicach tłumy mieszkańców, którzy będą mogli podziwiać jedyną w swoim rodzaju imprezę. Loty nocne będą jednocześnie sygnałem dla społeczeństwa lubelskiego o rozpoczynającym się w dniu jutrzejszym Tygodniu Obrony Powietrznej.

●

● Według tymczasowych obliczeń GUS bilans handlowy za lipiec 1928 r. przedstawia się następująco: przywieziono ogółem 492.082 ton wartości 288.153.000 zł., wywieziono zaś 1.593.268 ton wartości 261.527.000 zł. Bierne saldo bilansu handlowego wyniosło więc 26.474.000 zł czyli o 10.875.000 zł mniej, niż w czerwcu br.

Poprawa bilansu handlowego spowodowana została wyłącznie wzrostem wywozu, którego wartość zwiększyła się o 9.561.000 zł. Z ważniejszych zmian zaznaczyć należy wzrost wywozu materiałów i wyrobów drzewnych o 726.000 zł. i wreszcie wzrost wywozu materiałów i wyrobów włókienniczych o 1.196.000 zł.

„Ziemia Lubelska"

Wybrała Anna Orzechowska

KRONIKA KULTURALNA

● Osiemdziesiąt już lat działa Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego, od 1918 roku gra Reprezentacyjna Orkiestra Dęta Wschodniej DOKP, od dziesięciu lat istnieje Towarzystwo Miłośników Lublina, od 1932 roku twórczo pracuje w mieście dyrygent chórów Tadeusz Chyła, 10 lat Józef Zięba kieruje Muzeum Józefa Czechowicza. Wymienione instytucje oraz osoby otrzymały tegoroczne nagrody prezydenta m. Lublina, przyznawane za działalność kulturalną. Gratulujemy, życząc zdrowia i nieustającej weny twórczej.

● Pomnik Bolesława Bieruta w Lublinie będzie dziełem faktycznie obywatelskiej inicjatywy. Ostatnio na listę patronów przedsięwzięcia wpisało się Międzywojewódzkie Zrzeszenie Prywatnego Handlu i Usług, skupiające osoby z województw: chełmskiego, lubelskiego i zamojskiego, które na konto społecznego komitetu budowy pomnika przekazały w sumie 100 tysięcy złotych.

● Niedawne, trzecie z kolei, spotkania z poezją renesansową w Kazimierzu, w których wzięło udział ponad 40 wykonawców, nie cieszyły się zbytnim zainteresowaniem publiczności, mimo że reprezentowały dobry poziom. Na koncertach bywało i kilkanaście osób, „lecz uważam — doszedł do wniosku red. A. Molik — że spotkania spełniły i inną rolę — pozwalały uczestnikom znaleźć się w kręgu jednego tylko okresu artystycznego". Jak widać, sofizmatem można sporo załatwić.

● Wielkim natomiast wzięciem u publiczności cieszy się lubelski Teatr Muzyczny (zwany niegdyś operetką), który po sukcesach w Radomiu i Zabrzu (zawsze murowane powodzenie) odwiedził miasta i miasteczka takich województw, jak: zamojskie, kieleckie, częstochowskie, rzeszowskie, przemyskie. Pierwszą premierą w nowym sezonie będzie „Diva", którą teatr uczci 35-lecie pracy artystycznej Beaty Artemskiej, przez długi czas związanej z naszą sceną.

● Imponującym też powodzeniem cieszyła się główna impreza krasnostawskich „Chmielaków", czyli ogólnopolski konkurs kapel podwórkowych. Rozkochanie narodu w takim muzykowaniu znalazło wyraz w wysokości nagród: 25 tysięcy złotych otrzymała za pierwsze miejsce Namysłowska Kapela Podwórkowa, 20 tysięcy za drugie — grupa pod alkazyjnym tytułem „Ciężko było, będzie lżej" ze Starogardu, 15 tysięcy za trzecią lokatę — kapela „Familijna" z Łodzi. Ciekawe: dlaczego w kraju nie pojawia się jeszcze kapela pod wezwaniem Jaremy Stępowskiego wskrzesiciela tego ruchu?

● „Lubelski Wrzesień Muzyczny" to impreza o ponad dziesięcioletniej tradycji, powołana do życia i dalej pięknie rozwijana przez Państwową Filharmonię im. H. Wieniawskiego. Tegoroczny okazał się ciekawy, a jego zakończenie — niebanalne: „Stworzenie świata" Józefa Haydna wykonano w kościele św. Pawła przy Placu Wolności, gdzie barokowy wystrój wnętrza zgodnie współżyje z renesansową architekturą typu lubelskiego, której takim znawcą jest prof. Piotr Bohdziewicz (barokista). W koncercie uczestniczyli: chór UMCS przygotowany przez Jadwigę Czerwińską, orkiestra naszej filharmonii oraz soliści — Danuta Damięcka, Alicja Marczak-Faberowa, Bolesław Hamaluk, Kazimierz Przytulski. Rzecz całą prowadził Adam Natanek. Przypomnijmy: filharmonia lubelska działa w skromnych, bardzo skromnych warunkach, a efekty posiada na miarę jeśli nie La Scali, to przynajmniej placówki o randze ogólnopolskiej.

● W Bialskopodlaskiem będzie w końcu skansen budownictwa wiejskiego. W ramach prac inwentaryzacyjnych spenetrowano już 80 miejscowości w 29 gminach województwa, stwierdzając z zakłopotaniem obecność tylko jednego młyna drewnianego, a całkowity brak takiegoż dworku. Naturalnie, chałup i zabudowań gospodarskich jest jeszcze sporo, ale pamiętajmy, że czas i przemysł są nieustępliwe w swoim działaniu na rzecz przyszłości. Cieszy przy tym, że do dzieła zabrano się w Białej Podlaskiej metodycznie, że nie pozbierano byle czego — w imię szybkości działania i statystyki — stawiając z owego skansen. Czy jednak dalej w Białej zamierza się uatrakcyjnić skansen nadając mu charakter hotelowy?

● Co się dzieje w lubelskim BWA? W ostatnich tygodniach wystawiali tam dwaj rzeźbiarze z Sopotu: Stanisław Radwański i Edward Sitek. Jeśli ktoś nie zdążył obejrzeć ciekawej ekspozycji, może zapoznać się z twórczością tych artystów podczas spaceru aleją wzdłuż ul. Filaretów na LSM, gdzie znajdują się prace obu autorów (druga i trzecia od strony postoju taksówek przy ul. Grażyny).

ekran i widz

„Spirala"

OSTATNI film Krzysztofa Zanussiego jest nie tylko dziełem złożonym i „trudnym". To również film z gatunku „nieprzyjemnych": podejmuje problem życia i śmierci, umierania — ze szczególną ostrożnością, od takich eschatologicznych problemów staramy się stronić w życiu codziennym, a już najbardziej w kinie. Chociaż kino od początku swego istnienia nie szczędzi nam scen śmierci. Rzecz w tym jednak, że chyba nigdy dotąd nie mówiono o niej na ekranie w sposób tak bezkompromisowy, tak oczywisty i angażujący wyobraźnię widza, zmuszając go do snucia rozważań nad obliczem i sensem spraw ostatecznych, przez jakie każdy z nas będzie musiał przejść.

Zanussi nie odwołuje się przy tym do żadnej metaforyki, nie sięga po poezję: „Spirala" w jednej ze swych warstw to niemal kliniczne studium umierania. Bez lubowania się w makabrze czy naturalistycznych okropieństwach, ale z oddaniem całej atmosfery zamykania się ostatniego aktu ludzkiego życia. Chyba tylko wydany niedawno „Zawał" Mirona Białoszewskiego może konkurować ze „Spirala" w umiejętności mówienia prawdy o szpitalu, o psychice ludzi chorych, o chwili stawiania stopy po t a m t e j stronie.

Ale tutaj też kończą się podobieństwa. Książka Białoszewskiego, tego literackiego samotnika, jest o dziwo, zwierzeniem człowieka żyjącego w zgodzie ze światem, świadomego swojego w nim miejsca i celu, do jakiego zdąża. To także kawałek prawdy o bliskości wobec ludzi, o codziennych przejawach przyjaźni, serdeczności łączącej go z otoczeniem. „Spirala" mówi o jednostce, która prowadząc życie wyobcowane ze społeczności ludzkiej staje nagle w obliczu nieuchronnej ostateczności.

Właściwie nie wiemy dobrze kim jest Tomasz Piątek, bohater filmu Zanussiego: przypadkowym znajomym wydaje się, że jego twarz „często gdzieś musieli widzieć" (może jest znanym aktorem, telewizyjnym prezenterem, wybijającym się młodym naukowcem lub wielkoprzemysłowym managerem?) Jest przystojny, doskonale sytuowany, dużo jeździł po świecie. I tyle. W obliczu nieuleczalnej choroby, stwierdzonego nagle przez lekarzy zagrożenia, Tomasz Piątek nie ma nic do powiedzenia ludziom oprócz słów nasyconych agresją, pełnych goryczy z powodu pękającej oto, tak równej dotąd, tak silnej i dobrze napiętej linii życia.

Próba samobójstwa w wysokogórskiej scenerii kończy się niepowodzeniem: ostatnie chwile będzie Tomasz pędził nie w stroju taternika, ale we flanelowym szpitalnym szlafroku, skazany na potoczną codzienność, na prozę szpitala, prozę śmierci. Spotka na swej drodze ludzi dobrych, życzliwych, choć niejednokrotnie ciężko doświadczonych przez los, którzy będą chcieli mu pomóc: zaawansowanego w latach Pana Henryka (prawdopodobnie — działacza społecznego), który żyje i pracuje naznaczony piętnem śmierci, pełnego dobrej woli studenta filozofii, młodą kobietę, Teresę, która straciła w górach męża — taternika. Ale te kontakty będą miały tylko połowiczny efekt. Nie przyniosą ukojenia, filozoficznego pogodzenia się z losem. Może jeszcze bardziej uświadomią Tomaszowi względność jego sukcesów i pustkę dotychczasowego życia. Powtórna próba samobójstwa rozegra się już tylko w żałosnej, odartej z wszelkiej romantyki scenerii, spełni się w nieporadnym stoczeniu ze szpitalnego okna.

Wbrew pozorom, mimo ciężkiej „dusznej" atmosfery, „Spirala" nie wydaje się być filmem pesymistycznym. Zanussi pokazuje klęskę wprawdzie, ale klęskę jednostki świadomie wyobcowanej z ludzkiej społeczności, usiłującej żyć na swój własny tylko „rachunek". Wokoło toczy się życie pełne dobra i zła, upadków i wzlotów, przetykane małością, lecz także ludzką dobrocią i życzliwością. Jak u Białoszewskiego. Ale tego Tomasz Piątek nie dostrzega. A gdy dostrzegać zaczyna, jest już za późno. Sam reżyser powiedział przed premierą: „...Będzie to, mam nadzieję, film jak najmocniej antykonsumpcyjny. Film, który nie atakuje samego faktu posiadania, ale zło upatruje w poczuciu, iż życia należy użyć w najpełniejszy sposób z myślą tylko o sobie samym".

Zanussiego przedstawiać nie trzeba. Warto natomiast zwrócić uwagę, że „Spirala" spina jakąś szczególną klamrą całą dotychczasową twórczość reżysera: tak mocno problemem życia i śmierci zajmowała się dotychczas tylko jego dyplomowa etiuda „Śmierć prowincjała". Ale w „Śmierci prowincjała" młody bohater filmu, historyk sztuki obserwujący męke rozstawania się starego zakonnika z życiem ucieka w pewnej chwili w panice od owego smutnego miejsca, od atmosfery śmierci. W „Spirali" Zanussi każe sobie i nam pozostać na miejscach, wyjść sprawie po dorosłemu, naprzeciw.

Z tym wszystkim nie zaliczyłbym „Spirali" do najlepszych filmów Zanussiego. Robiony metodą improwizowania na planie, również w sensie tworzenia dialogów, miejscami łamie się dramaturgicznie, wpada w dłużyzny. Błyszczą w nim przede wszystkim kreacje aktorskie: Jana Nowickiego (Tomasza), Mai Komorowskiej (Teresa) i odkrytego ponownie dla filmu Jana Świderskiego (Pan Henryk). Stawiany przez Zanussiego problem i reżyserska robota zostały należycie ocenione przez krytykę: nagrody w Cannes 1978 i w Łagowie, ostatnio — nagroda dziennikarzy na wrześniowym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku. Ale — byłbym raczej za prezentowaniem „Spirali" przede wszystkim w sieci kin studyjnych i DKF-ów, z czasem przeznaczonym na wprowadzenie i poprojekcyjną dyskusję.

M. D.

TOMASZEWSKI BRAMKARZ VAV BEERSCHOT

Z Janem Tomaszewskim, bramkarzem VAV Beerschot, rozmawia Władysław Lachowicz („Odgłosy")

— Co dalej? Sympatycy futbolu zapytują, czy Jan Tomaszewski osiągnął już wszystko? Czy o czymś jeszcze marzy? Co by Pan im odpowiedział?

— Cóż, porusza pan sprawy intymne, ale nie szkodzi. Póki czuję w sobie młodość i mam formę, chciałbym jeszcze parę razy zagrać w narodowej drużynie mego kraju. Naturalnie, myślę o eliminacyjnym turnieju do mistrzostw Europy. Na olimpiadę do Moskwy będę mógł pojechać jedynie w roli widza.

— Czy w wypadku powołania Pana do reprezentacji Polski, VAV Beerschot nie będzie robił trudności?

— Nie. Mam to zagwarantowane w kontrakcie.

— Nie ogarnia Pana lęk przed rywalami z IV grupy eliminacyjnej, do której należy Polska?

— W piłce nożnej chwali się przeciwnika dopiero po meczu, nigdy przed walką. Owszem, podzielam opinie większości, że Holandia będzie trudnym przeciwnikiem, że z NRD nie będzie również łatwo walczyć. Są to jednak, choć nie pozbawione słuszności, racje teoretyczne. Jestem optymistą i dlatego gniewa mnie przedwczesne lamentowanie.

— Agencje prasowe doniosły, że w meczach belgijskiej ligi zdołał Pan obronić już dwa rzuty karne.

— Cztery.

— Ale dwa to już nie w ekstraklasie?

— Zgadza się. Otrzymałem za swe udane interwencje brawa podczas poprzedzającego rozpoczęcie meczów ligowych turnieju. Mój obecny zespół zdobył w nim tyle samo punktów, ile zdobył pretendent do pierwszego miejsca. Zgodnie z regulaminem turnieju doszło do rozstrzygających rzutów karnych. Strzelający piłkarze ani razu nie strzelili ponad bramką lub obok niej. Cała piątka nie żałowała nóg strzelając na moją bramkę. Dwóch z nich jednak wyczułem i złapałem piłkę.

— Obrona karnych przejdzie niewątpliwie razem z Panem do historii piłki nożnej. Może Pan wobec tego powie, komu lub czemu zawdzięcza Pan tyle udanych interwencji przy rzutach karnych?

— Przy strzelaniu karnego obciążenie psychiczne nie jest równe. Moja pozycja w bramce jest pod tym względem uprzywilejowana. W momencie wzajemnego przygotowania do strzału ja nie mam napiętych nerwów do ostateczności, bo nie ciąży na mnie presja publiczności. Jestem zawsze przekonany, że jeśli wpuszczę bramkę, to publiczność natychmiast mnie rozgrzeszy. W gorszej sytuacji jest strzelający, który zawsze dźwiga na swoich barkach cały ciężar odpowiedzialności za los spotkania. I dlatego on swą czynność wykonuje w napięciu, ja na pewnym luzie, dzięki któremu mogę sobie pozwolić na większe ryzyko. Posiadam nad nim też i tę przewagę, że on musi w którymś momencie spojrzeć w miejsce, gdzie chce strzelać. Ja, odwrotnie, mogę koncentrować swoją uwagę tylko na nim.

Na obozach kadry narodowej przez całe wieczory słuchałem przestróg i rad trenera Huberta Kostki, który następnego dnia rano do swych teorii dopasowywał ćwiczenia. Jemu więc zawdzięczam głównie moje powodzenie przy wyłapywaniu niektórych rzutów karnych.

Ligowa drużyna VAV Beerschot posiada trzech bramkarzy. Kiedy pierwszy trener, Rik Coppens i jego asystent zajęci są szkoleniem reszty zawodników, my w trójkę trenujemy przez jakiś czas sami. Wówczas demonstruje moim belgijskim kolegom ćwiczenia zapamiętane z treningów prowadzonych przez Huberta Kostkę. Są zachwyceni ich różnorodnością i przydatnością w grze.

— Czy istnieje duża różnica między programem szkoleniowym stosowanym w Polsce, a programem zajęć w belgijskich klubach?

— Tok zajęć jest podobny, z tą jedynie różnicą, że w naszym kraju duży nacisk kładzie się na ćwiczenia siłowe, zaś w Belgii mnóstwo czasu poświęca się na mecze towarzyskie. Przekonałem się, iż jest w tym wiele racji. Bo tylko w trakcie poważnej, okresami zaciętej walki wyrabia się umiejętność błyskawicznej oceny sytuacji na boisku, do perfekcji opanowuje się stosowne zwody niezbędne przy dryblingu i uczy się opanowania w sytuacjach podbramkowych. Takich cech nie można wyrobić u zawodników podczas nawet najidealniej przemyślanego treningu.

— Ile czasu poświęca trener VAV Beerschot na omówienie planu gry? Chyba mówi o swych założeniach przez wiele godzin.

— On nie jest gadułą.

— Ale ma przed sobą międzynarodową grupę piłkarzy. Aż siedmiu zagranicznych zawodników: Polaka w pańskiej osobie, Haitańczyka Sanona, Beloya z Zairu, Holendrów — Kletona i Muchera, Fina Tolse oraz Hiszpana Lozano. W szatni musi być pewnie wielu tłumaczy.

— A tymczasem jest tylko jeden. Ja mam tylko tłumacza i to do czasu, kiedy opanuję język flamandzki.

— Polak?

— Belg z krwi i kości. Wspaniale jednak włada naszym językiem. Nauczyła go żona, polska góralka. Ponoć, jak mówią wtajemniczeni, w kilka dni po ślubie oświadczyła mu, że w domu rozmawiać się będzie po polsku. Dzięki niej mój tłumacz ani się zająknie, kiedy tłumaczy na język polski flamandzkie sformułowania trenera. Czasem trener Rik Coppens posługuje się angielskim, wówczas wiele z tego dociera do mnie bez pomocy tłumacza.

— Kto w obecnym Pana klubie jest główną personą?

— Chodzi o sekcję piłkarską i jej drużynę ligową?

— Tak.

— Bogiem jest trener.

— Współczuję „bezbożnikom". Chyba wreszcie doszli do przekonania, że milczenie może być złotem.

— Nie siedzimy jednak jak mysz pod miotłą. Dyskutujemy. Prowokuje nas zresztą do tego trener Rik Coppens. I tak dla przykładu, kiedy ma wątpliwości co do obsady jakiejś pozycji na boisku tym lub innym zawodnikiem, zasięga wtedy rady drużyny.

— I co z tego wynika?

— Po wysłuchaniu naszych opinii odrzuca mniej trafne i podejmuje decyzję.

— Jak wysokie są kontrakty zawodników w waszym klubie?

— Nie odpowiem panu na to pytanie, bo po prostu nie wiem. Kontrakt każdego z nas jest tajemnicą dla reszty drużyny. I moim zdaniem, jest to bardzo dobre rozwiązanie. Dzięki temu, każdy z nas stara się wypaść na boisku jak najlepiej bo gra dla drużyny i na swoje konto. Nie przychodzą mu do głowy takie myśli, jak to się zdarza u nas, że ten najwyżej taksowany oszczędza się bo odcina kupony od swojej sławy, a reszta musi grać za niego i za siebie.

— Jak drogie są bilety na mecze pierwszej ligi belgijskiej?

— Zamożni się nie skarżą, ale mniej zarabiający nie mają zbyt wesołych min, gdy patrzą na cenniki wywieszone przy kasach. W przeliczeniu na dolary, za bilet na miejsca siedzące płaci się około 15 dolarów, a na miejsca stojące — 6.

— Widuje się Pan z Włodzimierzem Lubańskim?

— Mam wobec niego duże zobowiązania. Wiele mi pomógł na obcym gruncie. I już spotkaliśmy się na boisku, jako rywale. Włodek grał dobrze, ale w tym spotkaniu obarczono go taką rolą, że w pojedynkę nie mógł wiele zrobić, zwłaszcza, że krok w krok biegał za nim Zairczyk, Beloy, który już nie pierwszy raz „opiekował się" na boisku Włodzimierzem Lubańskim.

— Jaka jest różnica w zachowaniu publiczności belgijskiej i polskiej?

— Na belgijskich stadionach kibice nie kończą dopingu w chwilach krytycznych dla ich drużyny, dopingują ją bez przerwy. U nas sympatia widowni zależy od układu sił na boisku. I jeszcze jedno spostrzeżenie. Na belgijskich boiskach nie kwituje się gwizdami chybionych strzałów na bramkę. Publiczność widać liczy się z tym, że ten sam zawodnik w dalszej części meczu może popisać się jeszcze skutecznymi strzałami. A wygwizdany będzie unikał strzałów na bramkę, podając tylko piłkę kolegom.

POCZTA literacka

P. W. Końskowola. Zobojętnienie na świat nie może być przyczyną twórczości. Chyba że jest to zobojętnienie pozorne, wynikłe z jakiegoś rozczarowania, a więc tym bardziej naładowane treścią. Tylko w pańskich wierszach ja odczuwam obojętność po prostu, bez tego podtekstu, który taką postawę dla pisarstwa by ratował. Więc musi się Pan sam zdecydować: albo Panu zależy na tym, co pisze, albo nie zależy również czytelnikowi, recenzentowi, pracownikowi redakcji i drukarni.

S. P. Stalowa Wola. Ale czy to nie jest postawa ułatwiona? Współczesne rygory formalne (jeśli o takich można mówić) są tak rozluźnione, że wyraźnie mówi się o nieuchwytności granicy między utworem wynikłym z przemyśleń, a zwykłą mistyfikacją, czy wprost grafomanią. Pan zdaje się z tej nieuchwytności korzystać pełnymi garściami. Chciałbym widzieć więcej ryzyka na własny rachunek, a mniej ukrywania się za praktykowanym wzorcem poezji choć treściowo niekiedy zastanawiającej, to formalnie ułatwionej.

R. B. Krasnystaw. Nie zawsze z samoograniczenia posuniętego do ascezy wynika efekt artystyczny. Czasem autor tak skondensuje słowo, że je uczyni kawałkiem stwardniałego cementu, a wtedy nie ma mowy o jakimkolwiek odbiorze. Owszem, na ogół się tego „nie zauważa", bo w opisywaniu wierszy obowiązuje styl niegdysiejszego salonu, w którym się konwersowało i parlowało, ale to nie znaczy, że nie zauważa tego czytelnik. A czy sądzimy, że po stronie czytelników znajdują się sami ignoranci?

A. T. Lublin. No nie, coś te wiersze za bardzo się przechylają w stronę szczebiotów. Rozumiem, że wolno to autorce, która ma czternaście lat, ale co mają z tego wynieść ludzie dorośli? Przecież nawet dla dzieci nie piszą dzieci. Więc cóżbym proponował? Postarzeć się trochę.

S. W. Warszawa. Niedostatecznie funkcjonuje ten postulat, który ma zagwarantować artystycznie skuteczne następstwo scen. Gdzieś u Stendhala (gdzie? ach ta skleroza) przeczytałem o proboszczu, „który był tak ostrożny, że zanim coś powiedział, gadał przez pięć minut". Pan sobie zbyt często pozwala na gadanie. W prozie jak i w filmie obowiązuje montaż, skrót, wycięcie, zestawienie scen. Nie chcę być złośliwy, ale ta proza nie biegnie, nawet nie idzie: człapie.

W. Z. Lublin. Scenka dramatyczna — owszem udana. Mówię to z dużym ryzykiem. Z ryzykiem dlatego, że tekst jest sam wystarczająco ryzykowny. Witkiewicz, Mrożek to — jeśli tak można powiedzieć, szczyty tradycjonalizmu przy tym, co Pan napisał. Ale powtarzam: rzecz nie spływa jak woda po kaczce. Pomysły inscenizacyjne dobre, tylko sam tekst miejscami czy nie zanadto dadaistyczny? W każdym razie kierunek poszukiwań jest.

R. G. Siedlce. Byłoby wielkim ułatwieniem w twórczości nie tylko poetyckiej, gdyby efekt artystyczny pochodził w prostej linii od intensywności emocjonalnego przeżycia. Tymczasem emocja liczy się tu jedynie jako jeden ze składników procesu wyrażania. Pan zaufał wyłącznie wrażeniu i wynikł z tego dość dokładny raport o pańskim stanie psychicznym, ale bez znaczenia jako utwór literacki.

J. K. Tomaszów Lubelski. Zupełny brak pointy. Opowiadanie niech nawet i rozwija się dobrze, niech ma sceny interesujące i sprawnie ujęte, ale dopóki nie wiem, jakiemu służą celowi, nie odbieram tekstu jako całości. Oglądam film, który się nie kończy.

D. L. Lublin. Myślę, że powinien Pan pójść w tym kierunku. W kierunku krótkich opowiadań o charakterze ironiczno-filozoficznym z lekkim zabarwieniem surrealistycznym. Proszę przeczytać „Mały seans spirytystyczny" Jerzego Broszkiewicza w 37 numerze „Literatury". Z pewnością pomoże to Panu skrystalizować własne stanowisko.

W. Z. Hrubieszów. „Rdzenne" tematy. Matka, tradycja, ziemia. Wielu poetów je poruszało w swoich utworach często z najwyższym artystycznym rezultatem. Ale czy nie wyeksploatowało? Można twierdzić, że nie, bo w przeciwnym razie należało by zamilknąć w ogóle, skoro nie ma tematów, które dotychczas w poezji zostały nietknięte. Tylko chodzi o to, żeby to nie grało się samo. Przystępując do „ziemi" potrzeba zdobyć się na coś własnego pamiętając, że to nie takie proste, skoro istnieje np. Broniewskiego „Mazowsze". Kiedy wiersz jest słaby, nie uratuje go ani tradycja, ani ziemia, ani matka. Więc radziłbym może przypatrzyć się swojemu arsenałowi środków formalnych. Bo tzw. „rdzenny" temat bynajmniej nie jest łatwiejszy.

J. P. Bogdanka, J. M. Turek, S. S. Środa Poznańska, R. G. Chełm — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA
(nr 21)

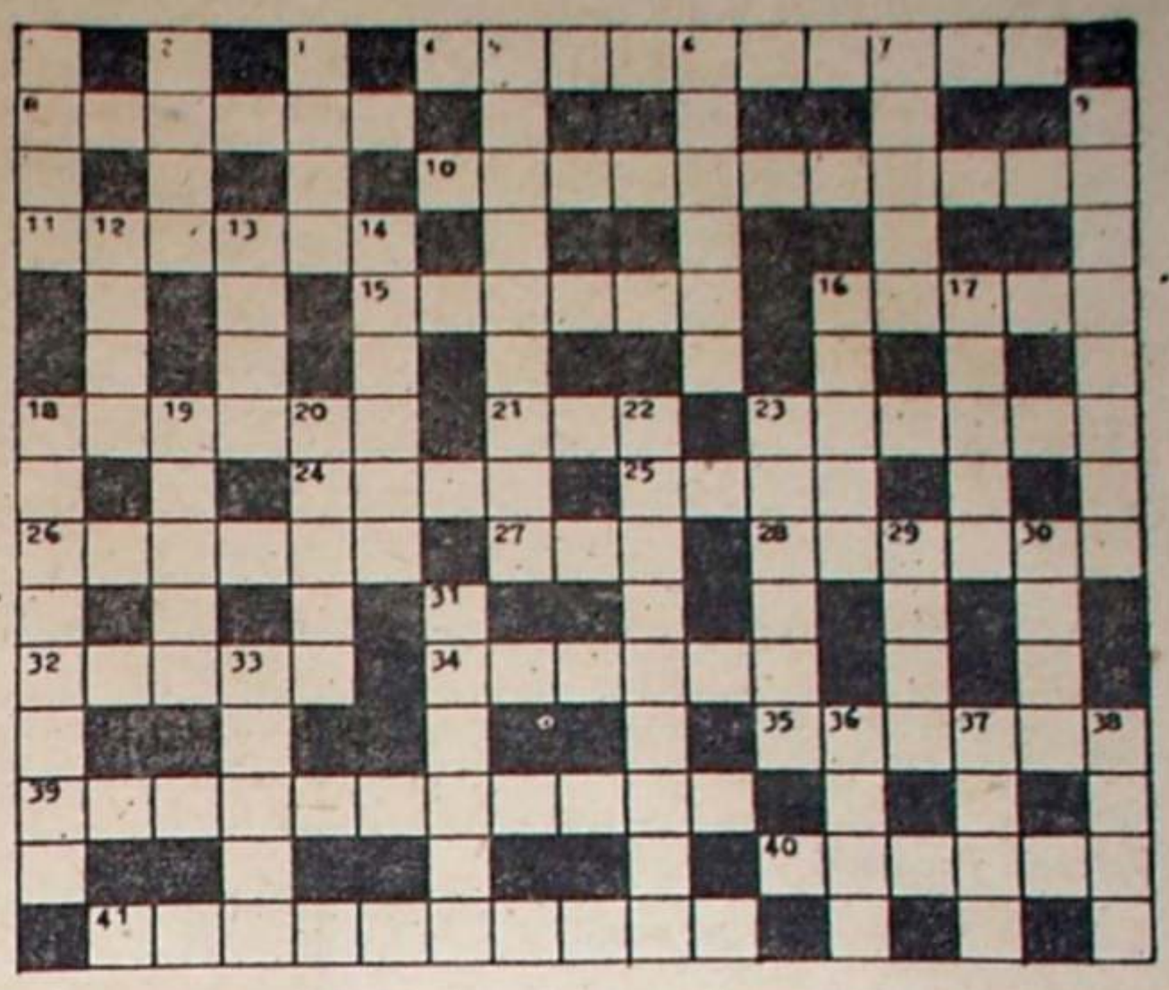

Poziomo: 4. współczesny polski poeta i dramaturg, 8. górska skała, 10. bezstronność, postawa wolna od uprzedzeń, 11. leśniczówka na Mazurach znana z twórczości Gałczyńskiego, 15. na wierzchowcu, 16. dawna miara długości, 18. czeska wieś zniszczona przez hitlerowców, 21. płyn z owoców, 23. stan USA na półwyspie, 24. zajmujący się nauką o moralności, 25. przewód do płynów i gazów, 26. strach, obawa powszechna, 27. konkurent esperanta, 28. omasta, 32. upiory, zjawy, 34. część świata, 35. zmartwienie, zgryzota, 39. rysownik typów starej Warszawy, 40. rumiane ciastko z dżemem, 41. rzymskie imię Persefony.

Pionowo: 1. mieszanina metali, 2. pieśń operowa, 3. ludowa organizacja młodzieżowa, 5. polski reżyser filmowy, twórca „Godzin nadziei", 6. bohater trojański zabity przez Achillesa, 7. pytająca odzywka brydżowa, 9. przedstawicielstwo obcego państwa, 12. miasto w woj. lubelskim przy drodze do Warszawy, 13. na szpulce, 14. znawca piękna, 16. wyznaczona droga turystyczna, 17. drzewo liściaste rosnące na terenach podmokłych, 18. współczesny dramaturg i scenarzysta, autor „Próby sił", 19. zwyciężył Goliata, 20. ceramiczny materiał budowlany, 22. rosyjski teoretyk anarchizmu, 23. przyjemny zapach, 29. złote lub leśne, 30. zboże góry, 31. krótkotrwałe zjawisko astronomiczne, 33. kolej podziemna, 36. rada ministrów, 37. zimowa rezydencja królów perskich w starożytności, 38. statek Noego.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 18

Poziomo: Arnsztajnowa, echo, noc, zebra, cent, herb, okruch, Ostrowski, skat, aloes, Skarb, idol, landrynka, rzepak, most, cilk, minia, ecnu, Prus, Sieroszewski.

Pionowo: Orzeszkowa, szpak, nakłucie, Znachor, pantarka, Lech, chór, Rostand, Eos, Wybicki, Konopnicka, Odyseusz, kapelusz, bariera, Nos, amper, Odra, test.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 19

Poziomo: twist, opera, Kraków, Ankara, rapier, Montana, czop, Rostocka, agencja, molo, animusz, amarant, kawa, przepis, Nawrocka, Irak, Zaranie, wdówka, Klecki, czekan, morał, płacz.

Pionowo: Skarb, Kasprowicz, Twardowski, Irkuck, Pranie, ryba, Kampala, Djakarta, zamiana, Gombrowicz, Czajkowski, Kasprzak, zasieki, Panama, akacja, Warna, runo.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 18 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Zofia Tchórzewska 20-217 Lublin, Gospodarcza 2/19, Maria Siemieniec 33-300 Krasnik Lub. Jagiellońska 28, Maria Zawisza 22-300 Włodawa — Szpital, Eugeniusz Tokarczuk 22-500 Hrubieszów, Polna 15 m 38.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 19 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Marian Sadowski 20-313 Lublin, Łęczyńska 58/31, Krystian Winkler 45-363 Opole, Kraszewskiego 29/6, Henryk Knap 22-416 Sitaniec 139 woj. Zamość, Wojciech Ziółek 41-710 Ruda Śląska 10, J. Curie 1/8.

Listy do kameny

„LAMENT PACJENTA"

W związku z notatką, która ukazała się w „Kamenie" nr 12 z br., a dotyczącą działalności lubelskiej pomocy doraźnej, Dyrekcja Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Lublinie uprzejmie wyjaśnia co następuje.

Wyjeżdżający zespół pomocy doraźnej składa się z: lekarza, sanitariusza-noszowego oraz kierowcy. Do zadań lekarza należy zbadanie pacjenta i w zależności od stwierdzonego schorzenia, o ile zachodzi konieczność przewiezienia do szpitala, choremu zostaje udzielona pierwsza pomoc medyczna w domu, łącznie z iniekcją, którą w każdym przypadku wykonuje lekarz, która zabezpiecza też chorego w czasie transportu, do chwili przekazania go na odpowiedni oddział.

Z chwilą stwierdzenia przez lekarza, że pacjent nie wymaga leczenia szpitalnego, choremu zostaje udzielona pierwsza pomoc medyczna w domu, łącznie z podaniem leków i pozostawieniem recept na leki, do czasu zgłoszenia się chorego do przychodni rejonowej lub specjalistycznej, gdzie winien kontynuować leczenie.

Sanitariusz-noszowy nie ma uprawnień do wykonywania iniekcji. Iniekcje w domu u chorych obłożnie wykonywane są przez zespoły zabiegowe przychodni rejonowych, na zlecenie lekarzy leczących.

Dość często w wypadkach krytycznych zespół wyjazdowy przystępuje natychmiast do ratowania życia, przewożąc chorego w jak najszybszym czasie na oddział intensywnej terapii. Nielekarskie i niehumanitarne byłoby w takich warunkach wypisywanie rachunków i pobieranie opłaty, gdy o życiu człowieka decydują sekundy. W takich więc przypadkach w określe późniejszym wysyłane jest wezwanie do zapłaty.

Skarga, jaka wpłynęła do redakcji od jednego z czytelników, żądającego, aby pomoc doraźna wzywana była do domu chorego w celu wykonywania iniekcji, świadczy, że część społeczeństwa nie jest zorientowana, do jakich usług medycznych powołane są poszczególne jednostki służby zdrowia.

Uważamy, że wskazane byłoby, aby w tak poczytnym czasopiśmie, jakim jest „Kamena", ukazał się na ten temat wyczerpujący artykuł.

Dyrektor Wojewódzkiego
Szpitala Zespolonego
Dr med. Czesław Popik

TEATR ZIEMI BIŁGORAJSKIEJ

W 1948 roku istniał w Biłgoraju Teatr Ziemi Biłgorajskiej — jeśli nie przekręciłam nazwy — scena amatorska, wystawiająca jednoaktówki i montaże słowno-muzyczne. W zespole tym występowałam kiedyś razem z mężem, no i ostatnio, mimo że od wielu lat nie mieszkam w tym mieście, odezwały się sentymenty do dawnych czasów. Nie mając się do kogo zwrócić, pytam redakcję, czy nadal istnieje budynek, w którym występowaliśmy — krótko, bo krótko, ale jednak. A jeśli redakcja nie orientuje się w tej sprawie, co prawdopodobne i zrozumiałe, prosiłabym kogoś z członków dawnego zespołu o stosowną informację. Mam nadzieję, że redakcja zgodzi się na wydrukowanie jej w rubryce „Listy do Kameny".

Alina Ziółkowska
Szczecin

KTO PROJEKTUJE BUTY?

Narzekanie na jakość i estetykę naszych butów jest tak powszechne i długie, że właściwie nie ma już o czym mówić, nie ma czego dodać do litanii pretensji. Niemniej chciałbym zwrócić uwagę na paradoksalność sytuacji. Otóż mamy w kraju prawie 10 tysięcy zawodowych plastyków, z których pokaźna grupa zajmuje się projektowaniem przedmiotów użytkowych, m. in. butów. Dlaczego projektują nieciekawe fasony, skoro są ludźmi profesjonalnie przygotowanymi do pracy, a na domiar wszystkiego polska sztuka stosowana, eksponowana na wystawach zagranicznych, zyskuje z reguły przychylne opinie?! Podobne pytanie można by zresztą skierować pod adresem projektantów odzieży. Owszem, jest coraz ładniejsza, zgodna z obowiązującą modą, ale przeciętny jej standard budzi poważne zastrzeżenia. Może, gdyby wprowadzić obowiązek noszenia przez plastyka odzieży przezeń zaprojektowanej, polepszyłoby się coś w tej branży?!

Adam Włodkowski
Lublin

„PO NADULSKIM ZIÓŁKOWSKI"

Pan Bohdan Królikowski (w „Kamenie" nr 19), z prawdziwie kawaleryjską fantazją i impetem, zaatakował mnie za artykuł, który... sam sobie wymarzył, a którego ja nie napisałem. W tekście pod powyższym tytułem — spróbowałem zrekonstruować okoliczności społeczno-artystyczne, które formowały osobowości twórcze ludzi odchodzących, a przynależnych do jednej formacji kulturowej — z naturalnych względów poświęcając więcej miejsca nieodżałowanej pamięci Wiktorowi Ziółkowskiemu. Pan Królikowski przeczytał tekst pod kątem własnych oczekiwań, a ponieważ nie doszukał się ich spełnienia, w postaci szkicu monograficznego o znanej osobie, sponiewierał autora „morderczym ciętem szabli na odlew". Powstaje pytanie: dlaczego wszyscy mają podzielać zainteresowania p. Królikowskiego? Ja przecież nigdy nie wymuszałem na znawcy „broni i barwy" znajomości np. sztuki czy mechanizmów rządzących kulturą humanistyczną.

Ireneusz J. Kamiński

„PONAD 700 TYTUŁÓW"

Do informacji „Ponad 700 tytułów" („Kamena" nr 19 z 17.IX.1978 r.) zakradł się poważny błąd. Otóż Drukarnia UMCS wydała owe 700 tytułów w czasie 9 lat swego istnienia, natomiast obecnie z oficyny wychodzi ok. 100 tytułów rocznie. Przepraszam czytelników i pracowników Drukarni, którym jednak życzę, by ów błąd stał się szczęśliwą wróżbą przyszłych osiągnięć wydawniczych.

A. Borkowska

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 23 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 72.—
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH"
Zakłady pracy, instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1351-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.
Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 2533.
Numer łamali Mieczysław Psujek i Tadeusz Słoboda, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy.
Nr indeksu 30281

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1
Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas 2552/1978/21

NOS

RYSOWAŁ WITOLD BARBARA

(nasz człowiek z Lublina)

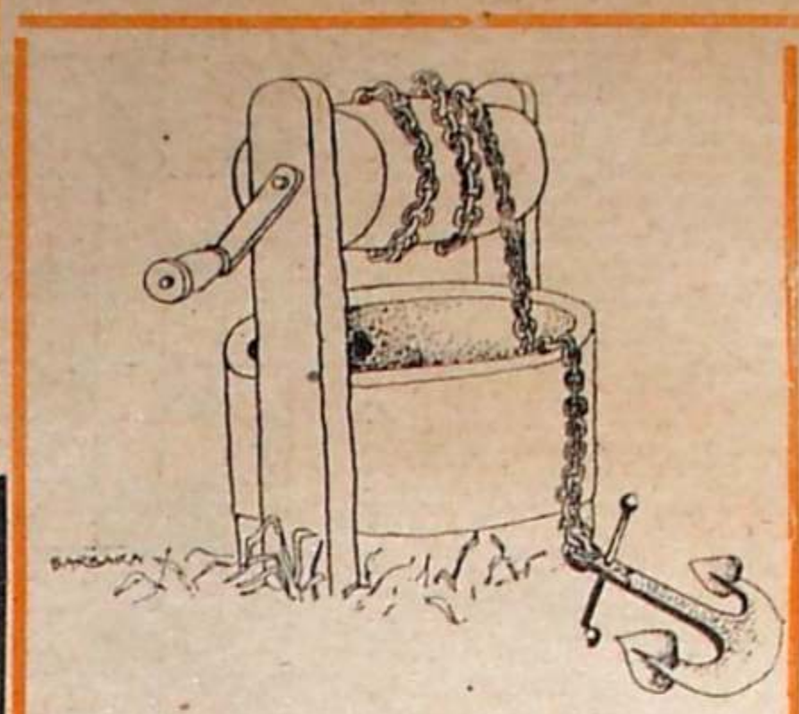

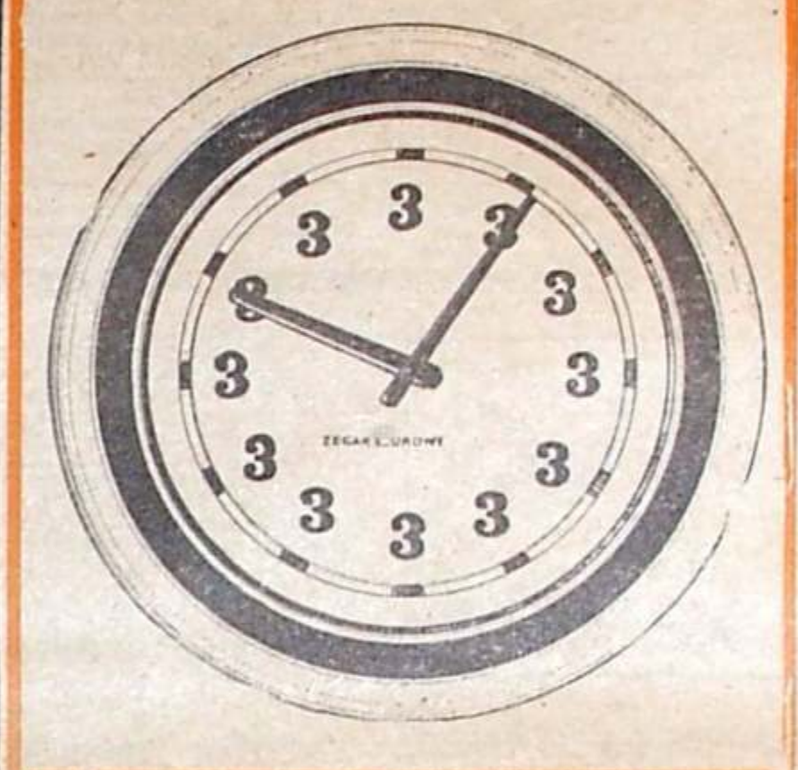

FRASZKI

Fryderyk Podolecki

POCHWAŁA LAURU

Laur — (to nie frazes pusty)
Bardzo poprawia smak kapusty.

REFLEKSJA

Choć przybiera motoryzacyjna fala,
Nie zamierzam wcale bić na alarm;
Gdy jednak wszyscy znajdą się w maluchach..
W Imię Ojca i Ducha!...

REWANŻ

Ty babę z wozu...,
Ona cię na ozór.

U KOWALSKICH

W rozmowach z nimi już nie wyłażę
Poza gaże i garaże.

DAR

Wprawdzie kiepski ze mnie różdżkarz,
Ale wodę wskażę w móżdżkach.

DO ZACHŁANNEGO

Nie wymuszaj pierwszeństwa
W kolejce po dostojeństwa.

NIEDOLE

Dla sąsiadów sprawa szpetna:
On — Wezuwiusz, ona — Etna.

Tadeusz Fangrat

USPRAWIEDLIWIENIE

Długi wiersz napisałem,
na krótszy czasu nie miałem.

PLON

I z cudzych piórek
plon — synekurek.

POECIE

Mieć nazwisko
to nie wszystko.
Ważne, by miał wieszcz
dobre imię też.

NA STAROŚĆ

Na starość chętnie się leci
na stare śmieci.

PO NASZEMU

Najpierw wódkę się stawia,
potem się blazna odstawia.

Rys. F. Maśluszczak